

Owlient



Lodowy Koń

Christine Frasseto

Prolog

W dniu, w którym zaledwie dwunastoletni Aleksander Wielki rzucił wyzwanie ogierowi o imieniu Bucefał i okiełznał go, nabrałem przekonania, że czeka go wielka przyszłość. Nie spodziewałem się jednak, że nasze losy złączą się na zawsze.

Pewnego razu, gdy szukałem silnego i wytrzymałego konia bojowego, doszła mnie wieść o przybyciu na dwór króla Filipa II Macedońskiego kupca z Tesalii, który miał zaprezentować swoje najlepsze wierzchowce. Od razu dostrzegłem mocnego, okazałego, czarnego ogiera o dumnym spojrzeniu i gwałtownym usposobieniu. Nie każdemu pozwalał się do siebie zbliżyć. – Chcę tego! – krzyknął wyniośle Aleksander. – Będzie twój, jeśli zdołasz go poskromić, mój synu – odrzekł król Filip z ironicznym uśmiechem.

Chłopiec intuicyjnie wyczuwał, że rumak nie bał się niczego oprócz własnego cienia. Jednym zręcznym susem dosiadł go i po gwałtownej walce udało mu się zwrócić wierzchowca w stronę słońca i poskromić bestię. Bucefał był koniem, który słucha tylko jednego pana, i wiedziałem, że na zawsze pozostanie wierny Aleksandrowi. Król Filip rzekł wówczas kilka proroczych słów: – Sama Macedonia nie wystarczy, by zaspokoić twój apetyt. Będziesz musiał podbić cały świat!

Gdy król Filip zmarł, Aleksander miał dwadzieścia lat. Byłem u niego na służbie i zostałem członkiem jego wiernej straży przybocznej. Aleksander skupiał w sobie wszystkie przymioty bohatera *Iliady*: charyzmę, ambicję, gwałtowność i brutalność, ale oprócz tego miał wykształcenie i zmysł strategiczny. Pobierał nauki u samego Arystotelesa – i nie poszły one na marne. Gdy Aleksander ogłosił swoją decyzję o podboju cesarstwa perskiego, bez wahania podążyło za nim 40 000 greckich i macedońskich żołnierzy.

Tuż przed wyruszeniem na wojnę, królowa Olimpias, potężna kapłanka Zeusa sypiąca w otoczeniu węży i budząca ogólny postrach, wszyła w tybinkę Bucefała pewien walcowaty przedmiot pokryty węzową skórą. Na szyi Aleksandra umieściła naszyjnik, przyozdobiony pięcioramienną gwiazdą z wygrawerowanymi tajemniczymi symbolami, który schowała pod jego napierśnikiem. Następnie zobowiązała mnie do złożenia przysięgi i dochowania całkowitej dyskrecji:

– Ptolemeuszu, powierzam ci bezpieczeństwo mojego syna. Nikt nie zdoła go pokonać na polu bitwy, dopóki będzie jechał na Bucefale i nosił tę oto pieczęć wszechmocy. Dbaj o to, by nigdy się z nią nie rozstawał, a w przyszłości zostaniesz królem w dalekiej, rozległej krainie, a twoi potomkowie będą żyli w dostatku przez stulecia.

W ciągu ośmiu lat mojej służby wojska Aleksandra zwyciężyły nad Persami i Medami, mimo ogromnej przewagi liczebnej przeciwników. Z członka straży przybocznej awansowałem na porucznika, a potem generała. Byliśmy niepokonani. Niestety, wielka i niszczycielska żądza władzy i chwały zupełnie zagłuszyła rozsądek Aleksandra. Podbite

królestwa, pozbawione silnej władzy, szybko ogarniał chaos. Z powodu obsesji na punkcie zdrady we własnych szeregach, wielki zdobywca często wpadał w niepohamowany szał. W jego różnokolorowych oczach tlił się płomień szaleństwa. Bez wahania skazywał na śmierć każdego, kto kwestionował jego rozkazy. Gdy zadźgał na śmierć swoich dwóch najwierniejszych oficerów, którzy przyszli błagać go o pozwolenie na powrót wyczerpanych żołnierzy do domu, postanowiłem zareagować i złamać przysięgę złożoną królowej Olimpias. Była to najtrudniejsza decyzja w moim życiu.

W nocy przed walką z Hindusami, która była z góry skazana na niepowodzenie, udało mi się odurzyć Aleksandra i Bucefała. W bitwie z hinduskimi łucznikami, ostrzeliwującymi nas z drewnianych wieżyczek zamocowanych na potężnych słoniach bojowych, straciliśmy wielu żołnierzy razem z końmi. Mimo osłabienia przez narkotyk, Aleksander był nieugięty i nakazał wojskom kontynuować walkę. W starciu ze słoniem Bucefał upadł i Aleksander stracił przytomność. Polecilem, aby zniesiono go z pola bitwy na noszach i wydałem rozkaz odwrotu. Wpierw jednak zdjąłem z szyi Aleksandra pieczęć wszechmocy i połamałem mieczem ramiona gwiazdy. Pięciu zaufanym jeźdźcom powierzyłem misję wywiezienia poszczególnych ramion gwiazdy tak daleko, jak to tylko możliwe, aby nikt już nie zdołał ponownie złożyć pieczęci. Piąty jeździec, mój najlepszy porucznik, dosiadł otumanionego przez narkotyk i upadek Bucefała i wyruszył na jeden z krańców świata.

Aleksander zaś nakazał zbudować miasto w miejscu, gdzie Bucefał padł, i nazwał je na jego cześć Aleksandria Bucefała. Od tamtej pory zupełnie się zmienił. Porzuciliśmy plany podboju Indii i się wycofaliśmy. Tuż przed swoimi trzydziestymi trzecimi urodzinami Aleksander zmarł na malarię w Babilonie.

Przepowiednie królowej Olimpias spełniły się: zostałem królem Egiptu. Ze szczytu latarni wzniesionej na moje zlecenie w Aleksandrii, mieście założonym przez Aleksandra, podziwiam ogromne królestwo rozkwitające pod moim panowaniem. Jednocześnie staram się być władcą sprawiedliwym i szanować egipskie zwyczaje. Niedawno obchodziłem swoje 80. urodziny, a w całym swym długim życiu nigdy nie ujrzałem już żadnego z pięciu jeźdźców. Świat jest zbyt wielki, by jedna osoba mogła sprawować nad nim władzę, nie powodując zniszczenia. Modlę się do Zeusa i Amona, by nikomu do końca świata nie udało się ponownie połączyć pięciu fragmentów pieczęci Aleksandra Wielkiego.

Pamiętniki Ptolemeusza I Sotera, ok. 285 r. p.n.e.

Głupiec ze mnie, Altairze. Powiniennem był cię posłuchać. Choć zawsze jesteś gotów do szaleńczego galopu, tym razem byłeś niespokojny, potrząsałeś łbem i uderzałeś ogonem, by dać mi do zrozumienia, że pod tym zdradzieckim śniegiem kryje się niebezpieczeństwo. Po wielkiej letniej suszy, tegoroczna zima była wyjątkowo długa i nieprzyjazna. W dniu, w którym postanowiłem się z nią zmierzyć, niespodziewanie uderzyła straszliwa burza. Oślepiiony śnieżną zamiecią i piaskami Syberii, wyskoczyłem z siodła i poprowadziłem cię za sobą. Ty stanąłeś dęba, wyrwałeś mi lejce z rąk i nagle ziemia usunęła się spod moich stóp. A teraz leżę samotny i bezradny na dnie skalistej, lodowej szczeliny. Jak ja się stąd wydostanę?

Przestań dreptać nad krawędzią szczeliny, bo sam tu wpadniesz! Wróc do jurt po pomoc i przekaz wieści mojej rodzinie. Zwyciężyłeś razem ze mną w wyścigu młodych wierzchowców na krajowym festiwalu Naadam. Nosisz imię najjaśniejszej gwiazdy w konstelacji Aquila. Ciebie posłuchają, Altairze. Ruszaj więc, pędź!

Mój rumak długo rzy niespokojnie, po czym rusza w drogę powrotną do obozu. Modlę się do Tengri, wiecznego nieboskłonu, by pomoc nadeszła szybko, zanim moje ciało zamarznie w tym lodowym grobowcu.

Przebieram palcami w butach wyścielonych owczą wełną. Napinam mięśnie nóg, wydaje się, że wszystko z nimi w porządku. Próbuję wstać, lecz powstrzymuje mnie przeszywający ból w klatce piersiowej i prawym ramieniu. Nie mogę ruszać prawą ręką, musiałem wybić sobie bark. No cóż, mogło być znacznie gorzej. Biorę głęboki oddech, zaciskam zęby i przenoszę ciężar ciała na lewą stronę, by unieść się przed próbą wstania. Spada kilka skalnych odłamków. Słucham, jak odbijają się od ścian szczeliny. Potem znów zapada głucha cisza. Nie słyszę nic prócz krwi pulsującej w skroniach. Rozglądam się po moim lodowym więzieniu w poszukiwaniu drogi do wyjścia. Jestem na małej półce skalnej, dobre pięć metrów nade mną jest następna. Skalne ściany są niemal zupełnie gładkie, gdzieś tam tylko widać szczeliny wyżłobione przez wodę, która pod wpływem mrozu zamieniła się teraz w twardey lód. Nie widzę żadnych punktów zaczepienia, by spróbować wspinaczki. Spadając, oczywiście zgubiłem torbę, w której miałem zapasy jedzenia, linę z końskiego włosia, zapalki, lornetkę, miskę i nóż. Zdejmuję lewą rękawiczkę, by przeszukać kieszenie długiego, ciepłego płaszcza deel, który teraz jest zupełnie potargany. W jednej z nich znajduję kilka kawałków aaruul, które łapczywie zjadam. Suszony ser nieco mnie wzmocni. Druga kieszeń jest przedziurawiona na wylot. Czuję się bezradny, niczym wesz na łysej głowie...

Hmm, a może spróbuję użyć ostrego kawałka skały w charakterze czekana? Gorączkowo przeszukuję mały występ skalny, na którym przycupnąłem. Nie ma tu nic prócz śniegu, żwiru i śladów ciekącej mi z nosa krwi. Z wściekłości kopię nogą śnieg. I znajduję węża! Instynktownie się cofam. Jeśli postanowi wybudzić się z zimowego snu, wyjdę na idiotę.

Ponieważ jest moim jedynym towarzyszem w tej skalnej szczelinie, przyglądam mu się dokładnie. Gdy delikatnie trącam go stopą, jego skóra rozchodzi się na boki, a pod spodem widać brązowy połysk. Znów popycham zwłoki zwierzęcia, spod których wylania się coś na kształt niewielkiego metalowego wałka o długości około dwudziestu centymetrów. Kucam i ostrożnie biorę go do ręki. Wygląda solidnie i poręcznie. Zaciskam go w dłoni i sprawdzam wytrzymałość, uderzając nim o ziemię z coraz większą siłą. Stopniowo budzi się we mnie nadzieja: mogę go użyć w charakterze czekana!

Lecz najpierw muszę odzyskać sprawność w prawym ramieniu. Mocno zasadzam się na nogach, zbieram się w sobie, obracam tułów i płynnym ruchem uderzam prawym bokiem w skałę. Od stóp do głów przeszywa mnie ogromny ból i wyję niczym zwierzę. Obraz przed oczami rozmywa się przez napływające łzy i padam na kolana bez tchu. Powoli wracam do siebie i próbuję ruszyć prawym ramieniem. Ból jest teraz inny, bardziej tępy i ciągły, i znów mogę używać ręki. Ostrożnie wstaję i biorę głęboki oddech. Zrobię to!

Przy pomocy prowizorycznego czekana, w zamarznionych kanalikach skalnej ściany drążę rowki wystarczająco głębokie, by móc wsunąć w nie palce rąk lub nóg. Powoli i stopniowo, walcząc z promieniującym bólem ramienia, wspinam się i pokonuję te kilka metrów dzielących mnie od najbliższego skalnego wybrzuszenia. Odpoczywam tu chwilę, siedząc w kucki i łapiąc oddech, i napawam się swoim osiągnięciem. A potem spoglądam w górę: wspinaczka na szczyt w takim tempie zajmie mi... O nie, co najmniej trzy dni bez zatrzymywania się!

Walczę z zalewającą mnie falą rozpacz. Myślę o moim dzielnym Altaïrze. Wiem, że uda mu się dotrzeć z powrotem do jurt. Tylko ile czasu upłynie, nim ktoś mnie tu znajdzie i wyciągnie z przepaści?

Po chwili leżenia na tej niewielkiej półce skalnej moje serce powoli odzyskuje normalny rytm. Zmuszam się jednak, by wstać, bo czuję łaskotanie w kończynach. Bezczywność spowoduje ośpienie ciała i umysłu i nawet nie będę wiedział, kiedy zasnę. Nie mogę się poddawać! Muszę walczyć i kontynuować wspinaczkę, żeby się rozruszać, nawet jeśli uda mi się pokonać tylko kilka metrów. Najpierw jednak muszę się napić. Przy pomocy metalowego wałka odłamuję kilka kostek lodu i rozpuszczam je w ustach. Oglądam uważnie ścianę, by wybrać odpowiednie miejsca na wydrążenie rowków. Hmm, nieco wyżej dostrzegam chyba jakiś metaliczny połysk, coś jakby lustro, znacznie większe od lodowych kanalików w skale. Będzie to dla mnie punkt odniesienia i miejsce odpoczynku – spróbuję sobie tam zrobić sztuczną półkę. Skupiam się na tym celu i kontynuuję wspinaczkę z uporem konia wydrapującego śnieg podkowami w celu odsłonięcia kępki trawy.

Muszę jak najszybciej dotrzeć do tego miejsca, bo moje mięśnie zaczynają drętwieć. Zawieszony w powietrzu, z zapalem drążę powierzchnię skały, a wokół mnie fruują przezroczyste kryształki lodu. Lód łamie się i pęka. By nie poranić sobie oczu ostrymi kawałkami, mocno przymykam powieki. Nagle słyszę, jak zmienia się dźwięk przy uderzaniu o skałę i czuję przechodzące przez ramię wibracje. Mam wrażenie, że uderzam o bęben. No chyba, że ze zmęczenia już mi dzwoni w uszach. Otwieram oczy i uderzam

jeszcze raz: nie wydawało mi się!

Zaintrygowany, dłubię kolejne dwa rowki w skale, by wspiąć się wyżej. Gdy udaje mi się dojrzeć, co tam jest, niemal spadam z przerażenia. W lodowym wgłębieniu widzę jakąś metalową obręcz przymocowaną do skórzanego paska. Podnoszę wzrok i widzę naprzeciw makabryczną twarz z mlecznobiałymi oczodołami...

To zamrożony koń!

Nie wiem, jak długo wpatrywałem się nieruchomo w skutego lodem konia. Podobnie jak ja musiał przeżyć okropny upadek, ale miał mniej szczęścia, biedaczysko. Przynajmniej jak dotąd...

Ściany nade mną są z litej skały, nie dam rady się po nich wspinać. W mojej głowie zaczynają krążyć chaotyczne myśli. Powoli zaczyna robić się ciemno, choć wokoło mnie latają kolorowe motyle, wywołując uśmiech radości. Świetnie, zima się skończyła, a spod białego puchu wyrasta aksamitna zielona trawa. Maki, jaskry, niezapominajki i fiołki przebijają się zuchwale, zwiastując nadejście wiosny w mongolskich górach. Wkrótce jednak ta piękna wizja traci swój urok i wywołuje u mnie ciarki. Nie, nie – to jeszcze nie koniec zimy. Powoli tracę rozum i mogę nie dożyć kolejnej wiosny.

Jak to się stało, że ja, Battushig, 17-letni student informatyki na Państwowym Uniwersytecie Mongolskim, wyjechałem tak daleko od ekscytującej stolicy Ułan Bator, a teraz przyjdzie mi skończyć zimą w mongolskich górach?

Skupiam uwagę na swoich ostatnich wspomnieniach. Dziesięciogodzinna podróż autobusem po wyboistych drogach w stronę stepu, a następnie dwugodzinna wędrówka do zimowego obozu mojej rodziny. Mój rumak, Altaïr, którego od razu można rozpoznać po gniadej sierści upstrzonej wiśniowymi plamkami i gęstej, lśniącej, czarnej grzywie, odłącza się od stada i pędzi w moją stronę, rżąc donośnie. Nasze spotkanie jest bardzo wzruszające, Altaïr ociera mi się o szyję, przyciska pysk do mojej klatki piersiowej, potem zaczyna się kręcić w kółko niczym szczeniak, a następnie kładzie czoło na moim ramieniu i głośno dyszy. Poklepuję go, obejmuję i mówię do niego łagodnym głosem. Ależ się za nim stęskniłem!

Altaïr odprowadza mnie do jurt, wesoło podskakując. Trzy młodsze siostry biegną ku mnie i prawie przewracają mnie na ziemię w wyścigu o to, która pierwsza mnie uściska. Moje siostrzyczki znowu podrosły. Matka Daguima trzyma mnie w ramionach, a potem mówi, że ojciec pojechał na spotkanie z hodowcami koni na górze Ałtaj. Ale powinien być już w drodze powrotnej. Pamiętam swoje rozczarowanie, miałem tak mało czasu! Następnie widzę, jak matka zakłada mi tradycyjne, ciepłe ubranie. Nim wsunie moje nogi w buty, owija je paskami filcu aż po kostki. Gdy już siedzę na Altaïrze, zakłada mi na ramię torbę z prowiantem i rozrzuca kilka kropel mleka w hołdzie duchom przodków, by ochronić mnie przez złem. Macham do niej na pożegnanie i odjeżdżam galopem na spotkanie z ojcem, by przekazać mu wspaniałe wieści.

Mój ojciec Gantulga jest zbyt mocno przywiązany do tradycji, by używać telefonu komórkowego. Na szczęście matce udało się go przekonać do zakupu paneli słonecznych, dzięki czemu mogą korzystać z prądu jak większość nomadów. A po zamontowaniu anteny satelitarnej – oglądać wiadomości i koreańskie telenowele w telewizji! Ech, mój ojciec. Żadne imię nie oddałoby jego charakteru tak dobrze jak to, które nosi: „serce ze stali”. Ma

w sobie więcej dumy niż sam Dżyngis-chan! Jak zareaguje, gdy powiem mu o tej niesamowitej rzeczy, która mnie spotkała? Dzięki darmowym kursom komputerowym udostępnianym przez amerykański uniwersytet MIT w Massachusetts i projektowi, który przygotowałem we współpracy z wykładowcami i studentami z Państwowego Uniwersytetu Mongolskiego oraz z całego świata, otrzymałem od MIT propozycję stypendium, które pozwoli mi dołączyć do grona studentów tej uczelni. Czy ojciec będzie ze mnie dumny, czy raczej zmrozi mnie spojrzeniem tak, że zamienię się w sople lodu, jak ten zamrożony koń?

Czy już zapadła noc? Na niebie widać już pierwsze gwiazdy, a lodowy koń rży, by je powitać. Słyszę, jak jedzie i przemawia do mnie. Przecieram oczy zdrętwiałymi rękami – lodowy koń się nie rusza. Z tego wyziębienia zapewne mam halucynacje.

– Battushig! Trzymaj się! Uratujemy cię!

Panującą w górach głuchą ciszę przerywa metaliczne pobrzękiwanie. Jak przez mgłę widzę dwa jasne punkty zbliżające się w moim kierunku. Słyszę głosy dodające mi otuchy. Łącuch punktów powiększa się coraz bardziej. Schodzą po mnie członkowie plemienia, wyposażeni w czekany, karabińczyki i liny obwiązane wokół pasa. Starszy brat Gambat, który pełni rolę przywódcy obozu w zastępstwie ojca, podnosi mnie i poklepuje po twarzy, by pobudzić przepływ krwi. Ostatkiem sił wskazuję na konia uwięzionego w lodzie. Oślepia mnie odblask latarki czołowej Gambata na lodzie. Zaskoczony brat prawie mnie upuszcza. Szybko jednak opanowuje sytuację i czuję, jak obwiązuje mnie pasami.

– Altair nas tu przyprowadził, ty wariacie!

Przed utratą przytomności chyba zdołałem się jeszcze uśmiechnąć.

– Obudziłeś się już? Wreszcie?

Słyszę wołający mnie delikatny głos. Czuję, jak ktoś głaszcze mnie po ręce i moje serce przyspiesza. To Salonqa, dziewczyna, w której od dawna się podkochuję, lecz nigdy nie byłem w stanie wyznać jej swoich uczuć. Chyba poudaję jeszcze, że śpię!

Czuję laskoczące mnie po brzuchu palce i w końcu otwieram oczy, bo nie mogę powstrzymać śmiechu – śmiechu, który szybko zamienia się w łzy:

– Auć!

– Ojej, przepraszam! – powiedziała Salonqa. – Zapomniałam, że jesteś połamany!

Oczami wyobraźni widzę rozmyte sceny mojego upadku i ratunku. Czy jestem teraz w szpitalu? Nie, rozpoznaję okrągłe ściany i drewniany, pokryty filcem stelaż naszej jurty, kolorowe, geometryczne wzory zawieszane na ścianach i bulgoczący na ogniu, pachnący Horhog z warzywami i jagnięciną. Niemiłosiernie burczy mi w brzuchu!

– Nie jest tak źle. Mogło być gorzej – powiedziałem, podnosząc zabandażowaną rękę.

– Mmm... Lekarz objazdowy powiedział, że wyszedłeś z tego prawie bez szwanku. Tylko kilka pękniętych żeber. Ale przez odmrożenia palców rąk i nóg nie będziesz w stanie pisać na klawiaturze!

Salonqa wyciąga z plecaka lustro i przysuwa je do mojego ciała, niczym skaner. Oglądam swoje rany. Klatka piersiowa z pękniętymi żebrami cała zabandażowana, dłonie i stopy zawinięte jak niemowlaki, a moja twarz... cała w czarnych, fioletowych i żółtych siniakach. Nie wyglądam ładnie. Zmieniam temat:

– Co z moim bratem? I Altaïrem?

– Nic im nie jest. Nie mogą się doczekać, by cię zobaczyć. A ponieważ nie możesz jeszcze wychodzić z łóżka, leniuszku, to mam dla ciebie prezent!

Salonqa kładzie mi coś ostrożnie na brzuchu. To mój laptop, który zostawiłem na uniwersytecie! Nie mogła mnie bardziej uszczęśliwić. Tylko jak ja będę pisał?

– Twój kolega wprowadzili małe ulepszenie! – oznajmiła wesoło Salonqa. – Polecenia głosowe. Coś ci to mówi? No dalej, spróbuj!

Chciałem wypróbować tę funkcję tym bardziej, że już wcześniej pracowałem nad dostosowaniem do języka mongolskiego niektórych programów do rozpoznawania mowy i stworzyłem samouczek, by pomóc dzieciom nomadów ze stepów i wysokich gór w nauce czytania i pisania. Nasz rząd bardzo dużo zrobił w zakresie rozbudowy krajowej sieci Internetu kablowego – by zacząć pracę, wystarczy tylko podłączyć komputer do zasilania i zalogować się przy użyciu jednego z wielu przekaźników rozsianych po całym kraju.

Bardzo doceniam to, że mogłem skorzystać z darmowych zdalnych kursów na MIT i chciałem pomóc dzieciom z mojej ojczyzny, by również mogły uczyć się w ten sposób. To trochę – a nawet sporo – jak dla... To znaczy, wszystko to z powodu Salonqi, córki Dukhana, pasterza reniferów z północnej tajgi, która dzięki swojemu samozaparciu teraz studiuje na uniwersytecie. Jej zamiłowanie do nauczania jest tak zaraźliwe i jest taka...

– No dalej, nie oglądasz posągu! Działaj!

Posłusznie spełniam jej życzenie, rumieniąc się pod sińcami.

– Włącz go.

Komputer reaguje zgodnie z poleceniem i na ekranie wyświetla się panoramiczny obraz sali lekcyjnej na uniwersytecie w Ułan Bator. Moi koledzy wiwatują żywiłowo, do momentu aż na ekranie pojawia się mój wykładowca, profesor Temudjin, który ich ucisza:

– Cieszymy się, że dobrze się czujesz – powiedział, kiwając głową. – Dzięki temu – wskazuje na kamerę zawieszoną na ścianie sali – nie będziesz musiał opuszczać lekcji. Witamy z powrotem. Ekhm, wracajmy do zajęć – kończy i znika z ekranu.

Ach, ta słynna mongolska dyskrecja! Widać było jednak szczęście na twarzy mojego drogiego wykładowcy. Wziął mnie na stanowisko asystenta, co pozwoliło mi sfinansować studia bez obciążania kosztami rodziców, i przez cały czas mnie dopingował. Zawdzięczam mu wszystko! Od Salonqi dowiedziałem się, że nie ma dzieci, więc postanowił poświęcić się swoim studentom i udzielać im wsparcia nawet po zakończeniu studiów. W ten oto sposób zyskał całkiem dużą rodzinę, lojalną i pełną wdzięczności.

U góry ekranu miga ikona powiadomienia. Zaprogramowane przeze mnie kryteria wyszukiwania umożliwiają mi filtrowanie nieskończonego potoku międzynarodowych wiadomości. Otwieram powiadomienie przy użyciu polecenia głosowego i włącza się transmisja na żywo.

„Wiadomość z ostatniej chwili. Niezwykłe odkrycie wywołało radosne poruszenie w świecie paleoantropologów i badaczy historii naturalnej. W następstwie wypadku z udziałem nastolatka, który utknął w szczelinie w mongolskich górach Ałtaj, odkryto zamrożone w lodzie zwłoki konia należącego do prawdopodobnie dawno wymarłego gatunku. Ciało zwierzęcia wydaje się być dobrze zachowane. Przy pomocy speleologów, naukowcy z Akademii Nauk w Ułan Bator zbudowali tymczasowe laboratorium obserwacyjne w miejscu dokonanego odkrycia. Według wstępnych szacunków badaczy koń żył od 2000 do 2500 lat temu. Obecnie w górach prowadzone są poszukiwania ciała potencjalnego jeźdźca...”

– Hej! To Jargal! – wykrzyknęła nagle Salonqa, wskazując na przystojnego młodzieńca stojącego wśród naukowców. - Robi się coraz przystojniejszy...

Na wzmiankę o Jargalu, byłym chłopaku Salonqi, niechętnie zaciskam szczękę. Nie cierpię tego Don Juana. Rzuciła go z powodu licznych zdrad, lecz mimo to wiele wycierpiała. I boję się, że wciąż żywi do niego jakieś uczucie... W przypływie złości chcę zamknąć transmisję, ale obwiązany bandażami jestem tak nieporadny, że zrzucam laptopa.

– Spokojnie! – śmieje się Salonqa, kładąc laptopa z powrotem na moim brzuchu. – Używaj raczej głosu zamiast swoich grubych paluchów. Wracam na zajęcia. Za niedługo będę z powrotem – na pożegnanie całuje mnie delikatnie w policzek. Moje serce w mojej piersi skacze niczym orzeł uderzający skrzydłami w klatce. Mam nadzieję, że ona nie słyszy tego dudnienia. Następnym razem, gdy się zobaczymy, wyznam jej miłość!

Cichy chichot zza pleców łóżka sprawia, że aż podskakuję. To moja babcia, przyniosła dla mnie kubek herbaty z solonym mlekiem. Przez cały ten czas siedziała za mną w jurcie! Z uśmiechem na twarzy pełnej zmarszczek, jakby świadczącym o wielu miłych wspomnieniach z jej życia, powolutku daje mi się napić – zupełnie jak wtedy, gdy byłem dzieckiem. I cieszę się, że Mongołowie słyną z dyskrecji, gdyż dzięki temu nie muszę odpowiadać na jej zaczepne spojrzenie...

Bezradnie i beczynn timer leżę na łóżku, dręczy mnie gonitwa myśli. Nie mogę skupić uwagi na tym, co odbywa się na zajęciach, słowa zamieniają się w niezrozumiały szum. Pokusa jest zbyt wielka. Przeszukuję informacje, jakie udało mi się zebrać na temat zamarznętego konia. W mediach pojawia się mnóstwo spekulacji, lecz nie uda się ustalić faktów, dopóki nie zostaną wykonane analizy. A gdybym tak wrócił na miejsce mojego wypadku, by poobserwować pracę przyrodników i paleoantropologów?

Tylko bez żartów. W obecnym stanie oczywiście nie zjawię się tam osobiście. Ale biorąc pod uwagę ten niesamowity sprzęt, jakim dysponuje Akademia Nauk dzięki międzynarodowym sponsorom, z pewnością istnieje jakiś zaawansowany system monitoringu, który pozwoliłby mi zbadać konia zdalnie bez narażania go na uszkodzenie. Gdybym tylko mógł się dyskretnie zalogować do systemu, miałbym obraz na żywo!

Wiem, kogo poproszę o pomoc! Oyunbilega, kolegę ze studiów, trochę starszego od nas informatyka, specjalistę od sieci optycznych. Jeden z niewielu geniuszy, którego nie skusiła wizja wysokiej pensji i nie wyjechał z Mongolii. Obecnie pracuje na Akademii Nauk w Ułan Bator. Na pewno zgodzi się podłączyć mnie do tymczasowej sieci laboratorium. Trzymając mocno kciuki, oczywiście w przerośni, kontaktuję się z nim.

Zaniedbana i wykrzywiona grymasem twarz Oyunbilega wyświetla się na moim ekranie. Na widok moich obandażowanych rąk zanosimer dzikim śmiechem i pyta, jak ja teraz dłubię w nosie. Tak, informatycy są może inteligentni, ale ich poczucie humoru pozostawia wiele do życzenia. Niemniej obiecuje, że załatwi co trzeba, żebym miał dostęp do sieci kamer na swoim komputerze. Trochę czasu mu to zajmie, ale nie umier określić ilie. Gorąco mu dziękuję i próbuję się skupić na zajęciach na uniwersytecie. Czuję jednak, że moje powieki robią się coraz cięższe i mimo wielkiego wysiłku nie umier się skupić. W końcu zaczynam odpływać...

Ze snu wyrzywa mnie wykrzykujący przekleństwa Marilyn Manson. Moje serce wali jak oszalałe, próbuję się opanować i szykuję się właśnie, by obrzucić obelgami tego psychola, który obudził mnie w tak brutalny sposób. Nagle słyszę dziki śmiech i muzyka ucicha. To Oyunbileg robi sobie kolejny paskudny dowcip, ale wybaczam mu szybko, bo na ekranie komputera widzę nowe okno: ten mały geniusz połączył mnie z siecią kamer w tymczasowym laboratorium w górach Ałtaj!

Skalna szczelina wygląda teraz niczym scena zbrodni. Czarno-żółta taśma mająca powstrzymać intruzów wyznacza obszar prowadzenia badań przez specjalistów. Zespoły speleologów wydobywają rdzenie lodowe, aby ustalić ich wiek i pobierają wszelkiego rodzaju próbki i dowody, które mogą okazać się przydatne. Pozostali, wyposażeni w przerośny sprzęt radiologiczny, robią zdjęcia konia pod różnymi kątami. W tymczasowym laboratorium mężczyźni w maskach i odzieży chirurgicznej prowadzą już analizy. Nie mogę się powstrzymać – szukam wzrokiem Jargala. Widzę, jak szczypcami podnosi

skrawek materiału ze wzorem w romby, kładzie go na szklanej płytce i odcina skalpelem fragment tej dziwnej tkaniny. Następnie wrzuca próbkę do probówki, wypełnionej do połowy przezroczystym płynem, którą umieszcza w okrągłym urządzeniu. Gdy zamyka pokrywę urządzenia, nagle uświadamiam sobie, że to nie jest fragment kostiumu klauna tylko skóra węża, pod którą znalazłem swój prowizoryczny czekan! O ile mnie pamięć nie myli, wciąż trzymałem go w sparaliżowanej ręce, gdy przybył mój brat. Gdyby udało mi się go znaleźć, mógłbym go przynieść naukowcom osobiście!

Odsuwam laptopa i wstaję z łóżka, powstrzymując grymas bólu. Oj, mam na sobie tylko bieliznę... Rozglądam się po jurcie w poszukiwaniu walca. Na pierwszy rzut oka nie ma go na żadnej z drewnianych skrzyń ani na dużej komodzie mojej matki. Może jest w skrzyni mojego brata? Wolnym krokiem podchodzę do skrzyni i unoszę wieko, ale są tam tylko ubrania i stare gazety. A może któraś z moich młodszych siostr „pożyczyła” sobie moją nową zabawkę? Nie, widzę tylko kolorowanki, szmaciane lalki i inne dziewczęce akcesoria. Ależ ze mnie osioł! Nie zajrzałem nawet do własnej skrzyni!

Odwracam się i otwieram ją, dysząc niczym stary koń chorujący na reumatyzm. Na samej górze jest mój deel, wyczyszczony i pozszywany! Babcia jest naprawdę niesamowita. Korzystam z okazji i zakładam go na moje zniekształcone bandażami ciało. W jurcie jest dosyć chłodno z dala od paleniska. Przeglądam ubrania w skrzyni i nagle BRZDĘK! coś wyślizguje mi się z rąk i spada z łomotem na dno. Udaje mi się złapać przedmiot obandażowanymi rękami przypominającymi płetwy i dokładnie mu się przyglądam. Mimo że uderzałem nim mocno w lód, nie wygląda na zbyt zniszczony. Są na nim wygrawerowane jakieś dziwne symbole. Na końcach przedmiotu znajdują się metalowe nakrętki. Czy w środku coś jest?

Wyobraźnia podsuwa mi śmiałe wizje: czy tajemniczy walec kryje w sobie mapę wskazującą położenie cennego, zaginionego skarbu? Nieoszlifowanych diamentów? Jakiejś starożytnej relikwii dającej władzę, sławę i bogactwo? Próbuję odkręcić nakrętki. Jestem taki nieporadny! Staram się znaleźć jakiś sposób, by je zdjąć. Paznokciami się nie uda. Siekiera czy piła zdecydowanie odpadają. Z braku lepszej alternatywy szukam szczypców, których używamy do wkładania suchego łąjna do paleniska. Łapię szczypce i siadam przy piecu, trzymając wałek między kolanami. Pomagając sobie przedramieniem, chwytam nakrętkę szczypcami i próbuję obrócić. Szczypce ślizgają się, za słabo je trzymam. Próbuję raz po raz, aż nagle słyszę przeraźliwy krzyk:

– Pożar!

Zanim orientuję się w sytuacji, ktoś już oblewa mnie wiadrami zimnej wody i zrywa ze mnie ubrania. Byłem tak skupiony na zadaniu, że nawet nie zauważyłem, kiedy mój deel zbliżył się do pieca i zajął się ogniem!

Matka dziękuje sąsiadom, którzy przyszedli na pomoc i ugasili pożar, odprowadza ich do wyjścia z jurty, a potem podchodzi do mnie rozżłoszczona. Mamroczę pod nosem:

– Przepraszam, mamó. Obiecuję, że będę ciężko pracować, by kupić sukno na nowy deel i... Auć!

Łapie mnie za ucho i wyciąga z jurty. Każe mi usiąść na macie, a potem zarzuca mi na ramiona koc. Mam teraz obierać z babcią warzywa, jak w dzieciństwie. Matka ogłasza tonem nieznoszącym sprzeciwu, że gotowanie dla ail, czyli członków klanu (złożonego z kilku rodzin zamieszkujących jurty), to jedyna bohaterska misja, jakiej jestem w stanie sprostać w najbliższym czasie. Następnie odchodzi, by posprzątać bałagan w jurcie, a ja odrywam liście kapusty... Brawo, prawdziwy z ciebie Indiana Jones!

W oddali dostrzegam Gambata na koniu, któremu towarzyszą dzieci z ail. Zaganiają owce, by poprowadzić je do zagrody na noc. Brat poświęcił całe swoje życie koniom i bydłu. Nawet jeśli czasem zazdrości mi życia w mieście ze wszystkimi jego rozrywkami w barach i klubach nocnych, nigdy nie kwestionuje swojej decyzji, by pójść w ślady ojca. A ja, choć nie korzystam z takich rozrywek, a jazda galopem przez step to dla mnie najwspanialsza rzecz na świecie, zupełnie nie widzę dla siebie miejsca w zawodzie hodowcy. I muszę przyznać, że czuję ulgę, gdy pomyślę, że mój brat odziedziczy to wszystko... Cóż tam znowu się dzieje? Psy z ail, z nosami skierowanymi na południowy zachód, zaczęły wyć, by zwrócić naszą uwagę. Czy zbliża się jakieś nowe zagrożenie?

W oddali słyszę rzenie, do naszego obozu zbliża się kawalkada jeźdźców. Babcia wstaje i wchodzi do jurty. Przygotowuje się do tradycyjnej ceremonii Airag, w której na powitanie częstuje się gości miską sfermentowanego końskiego mleka. A to nie są byle jacy goście!

Matka w pośpiechu biegnie w kierunku koni przywiązanych do Ouiiaa, liny zawieszonych między dwoma słupkami. Rozwiązuje węzeł trzymający uździenicę jej starej czerwonej klaczy Tarjenjau i nie tracąc czasu na osiodłanie, łapie za jej grubą grzywę i wspina się na grzbiet. Tarjenjau, „gruba dziewczynka”, jest zachwycona, że może sobie pobiegać i szybkim galopem zmierza w kierunku grupy jeźdźców. Mój ojciec i pozostali mężczyźni z ail wrócili do domu!

Ich konie posuwają się naprzód w jednym rzędzie. Ojciec obejmuje matkę, podnosi ją jak piórko i sadza w siodle przed sobą. Słyszę jej śmiech. Czy pewnego dnia też będę wioził ukochaną kobietę na grzbiecie Altaïra?

Przed rozejściem się do swoich rodzin jeźdźcy muszą najpierw zadbać o swoje konie. Zdejmują siodła, sprawdzają podkowy, szczotkują je i poklepują, a potem zdejmują im uzdy i pozwalają się napić wody z rzeki. Dopiero wtedy mężczyźni idą do swoich rodzin i witają się z nimi, w kolejności od najstarszego do najmłodszego członka rodziny. Ojciec śmieje się radośnie na widok moich trzech młodszych sióstr. Lecz gdy tylko stawia je z

powrotem na ziemi, jego twarz posępnieje. Wpatruje się we mnie surowym i nieprzeniknionym wzrokiem. Przelykam nerwowo ślinę i nie potrafię z siebie nic wykrztusić, czekam aż coś powie. Nic jednak nie mówi. Gdy odwraca się do nas plecami i wchodzi do jurty, czuję ucisk w gardle i oczy zaczynają mnie lekko piec. Gambat poklepuje mnie przyjaźnie po ramieniu i odchodzi, by sprawdzić zagrody owiec. Poirytowany swoim sentymentalizmem, spoglądam w dal na zachodzące słońce. Mężczyźni nie płaczą.

W nocy słyszę, jak ojciec wzdycha i szepcze do matki:

– Czy on kiedykolwiek stanie się odpowiedzialnym mężczyzną?

Mój telefon wibruje w kieszeni spodni. By móc go łatwiej dosięgnąć, odkładam wiszące na moich łokciach wiadra wypełnione wodą z rzeki. Co ja tu robię na zewnątrz, w środku nocy, opatulony kocem i pogrążony w bólu?

Nie mogłem spać, więc wstałem przed świtem, by przynieść wodę na poranną herbatę dla rodziny na miły początek dnia. Potem zamierzam wyjechać do Ułan Bator. Myślę, że właśnie tam jest moje miejsce, mimo że zawsze będę czuł przywiązanie do stepów. Miałem nadzieję, że uda mi się porozmawiać z ojcem, ale wyszedł doglądać kłacz, które mają się ożrebić. Nie wiem, co zrobić, by zyskać przynajmniej jego aprobatę, skoro nie może być ze mnie dumny. Odkąd zacząłem studia, stałem się bezwartościowy w jego oczach, ponieważ nie podążyłem jego śladami. Wystarczy już tego rozpamiętywania, muszę odebrać telefon. Pewnie Gambat martwi się i zastanawia, gdzie jestem. Kiedy w końcu przestanie czuć się za mnie odpowiedzialny?

– Już idę – odpowiadam krótko.

Po drugiej stronie nie słyszę jednak głosu Gambata. Dzwoni jakaś nieznana mi osoba, mówiąca pewnym siebie i dość chrapliwym głosem z anglosaskim akcentem.

– Panie Battushig, z tej strony John Fitzgerald Hannibal z firmy Hannibal Corp. Bardzo dokładnie śledzę pańskie postępy na studiach. Proszę przyjąć moje gratulacje z okazji przyjęcia na studia na MIT...

Prawie upuściłem telefon. Amerykańska firma Hannibal Corp., która dorobiła się fortuny dzięki swoim pionierskim osiągnięciom w dziedzinie innowacji naukowych, jest głównym sponsorem Akademii Nauk w Ułan Bator i Uniwersytetu Mongolskiego. Ich hojne dotacje pozwoliły sfinansować prawie cały nasz sprzęt naukowy i komputerowy, służący studentom z wielu ubogich krajów. Najzdolniejsi studenci otrzymują czasem szansę zatrudnienia w Hannibal Corp. Wiem, że udało się to kilku byłym studentom z naszego uniwersytetu, a profesor Temudjin często wspomina o Kubilaju, który zajmuje tam stanowisko kierownika ds. sieci i bezpieczeństwa informatycznego. Nie mogę sobie nawet wyobrazić, jak by to było zostać jednym z tych wybrańców! Jestem tak oszołomiony, że udaje mi się tylko wymamrotać głupio:

– Haha...

– Panie Battushig, nie będę owijał w bawełnę.

To jest to. Moje serce zaraz przestanie bić z wrażenia. Widzę już siebie na drodze do sławy i czuję radość zmieszaną z jakimś nieokreślonym strachem: nigdy nie uda mi się spełnić oczekiwań pana Hannibala!

– Gdy uległ pan wypadkowi w górach Altaj, czy nie znalazł pan pewnego walcowatego przedmiotu?

A więc o to chodzi. Szybko zostałem sprowadzony na ziemię. Nie interesuje go mój potencjał jako przyszłego naukowca. Chce tylko dostać ten tajemniczy metalowy walek, który służył mi za czekan. Zupełnie o nim zapomniałem przez to całe zamieszanie związane z pożarem wywołanym przez mój deel i powrotem ojca.

– Tak, proszę pana – wydusiłem z siebie. – Chciałem go przekazać pracownikom tymczasowego laboratorium.

– Doskonale. Ale oszczędzę panu fatygi. W ciągu najbliższej godziny niedaleko pańskiego obozu wylądaje helikopter. Może pan przekazać przedmiot pilotowi. Życzę szybkiego powrotu do zdrowia!

Mój rozmówca się rozłącza. Nie zapytał nawet, gdzie jest nasz obóz. Najwyraźniej nadajnik GPS w moim telefonie dostarczył mu wszystkich potrzebnych informacji. A może jakiś tajny dron śledzi mnie z wysoka. I pomyśleć, że to wszystko z powodu jakiegoś głupiego metalowego cylindra. A ja, durny, wyobrażałem sobie, że udało mi się sięgnąć gwiazd...

Gwiazdy! No jasne! Dlaczego nie pomyślałem o tym wcześniej? Upuszczam wiadra jak rażony piorunem i biegnę ile sił w nogach do jurty. Zrzucam koc na łóżko i otwieram swoją skrzynię, starając się nie narobić hałasu. Matka zapewne odłożyła tam cylinder. Tak jest! Wychodzę z jurty i biegnę na skalisty pagórek, by dokładnie obejrzeć tajemniczy przedmiot w świetle gwiazd. Zanim go przekażę pilotowi, chcę mieć jakąś pamiątkę. Nieporadnymi rękami robię mu kilka zdjęć telefonem, pod różnymi kątami. Potem obracam go powoli przed sobą. Wydaje mi się, że wśród wielu wygrawerowanych symboli dostrzegam gwiazdę...

Dość nietypową, pięcioramienną, w samym środku cylindra. A po obróceniu go do połowy widzę drugą, taką samą, idealnie symetryczną. Jakby namagnetyzowany przez te dwa pradawne symbole, chwytam ostrożnie cylinder kciukiem i palcem wskazującym. Pod palcami mam obie gwiazdy. Trzymam przedmiot poziomo, w idealnej równowadze. A ponieważ w głębi duszy zawsze pozostanę małym chłopcem, macham ręką w górę i w dół, by wywołać słynną optyczną iluzję gumowej różdżki. Różdżka zaczyna tańczyć, a ja uśmiecham się jak dziecko. Prawie zapominam, po co siedzę w tej zaspie.

Nagle czuję ciepły oddech z tyłu karku, który wyrywa mnie z hipnotycznego transu. Zaskoczony, podrywam się i mocno ściskam cylinder, by go nie upuścić. Dobrze znam to dyszenie, to mój Altair! Gdy odwracam się ku niemu z radością, ręka zaczyna mi się trząść, co przyciąga moją uwagę. Altair delikatnie popycha mnie łbem (to taki jego odpowiednik przytulania się), lecz odpycham go dłonią i skupiam się na dziwnym zjawisku, które właśnie zaobserwowałem. Jedna z dwóch „nakrętek” unosi się, jakby sterowana wewnętrznym mechanizmem. Niepewnymi rękami zdejmuję ją i zaglądam do środka.

Oprócz mechanizmu otwierającego cylinder, złożonego z delikatnych trybików, cienkich metalowych prętów i zatrasków, wewnątrz znajduje się kolejny walcowaty przedmiot!

Zastanawiam się, ile jeszcze cylindrów schowanych jest w środku. Czy to coś w rodzaju matryoszki, rosyjskiej lalki złożonej z wielu wpasowanych w siebie, identycznych części?

Sądząc po ciemnych pasmach przebiegających wzdłuż drugiego wałka, jest on zrobiony z kości i wydrążony. Unoszę przedmiot w stronę światła gwiazd, by sprawdzić, czy jest coś w środku. Światło nie przechodzi na wylot i nie widzę dokładnie. Potrzęsam nim, by cokolwiek jest w środku się przemieściło, ale bez efektu. Przykładam usta do jednego końca i dmucham w cylinder jak przy grze na flecie. Powietrze przechodzi, ale odnoszę wrażenie, że podmuch jest blokowany przez tajemniczą zawartość. Musiałbym wsunąć do środka jakiś metalowy pręt lub drobną gałązkę, by wyjąć to, co się tam znajduje. Ale dookoła jest tylko śnieg. Trzymam kościany cylinder przed sobą i powoli obracam go w dłoniach. Po zewnętrznej stronie znów wyryto jakieś tajemnicze symbole. Dostrzegam koński łeb udekorowany gwiazdą pięcioramienną. Sprawdzam, czy nie ma kolejnej gwiazdy, bo może mi się poszczęści i otworzę ten cylinder tak samo jak pierwszy, ale niestety nic nie znajduję. Nie można za każdym razem liczyć na taki fart! Szukam dalej. Widzę jakąś serię symboli, liter i liczb, ale ich układ ani wygląd nic mi nie mówią. Czuję, że nie zaspokoję ciekawości przed oddaniem przedmiotu w ręce pilota...

– Hej! Co jest z tobą, Altaïrze?

Koń zaczął się paść na moich włosach. Znalazł wreszcie skuteczny sposób, by zwrócić moją uwagę. A teraz ssie moje ucho!

– Hej! Przestań, łaskoczesz mnie!

Wzdrygam się i upuszczam kościany cylinder na śnieg, na którym odciska niewyraźny prostokątny ślad. Schylam się po niego na czworakach, podczas gdy Altaïr skubie moje plecy. Odpycham mojego konia i wsuwam kościany cylinder z powrotem do metalowego. Zamykam go, ponownie naciskając obie gwiazdy jednocześnie. Wkładam przedmiot do kieszeni spodni obok telefonu, wstaję i z głośnym okrzykiem rzucam Altaïrowi wyzwanie.

– Chcesz się pobawić?

W odpowiedzi Altaïr staje dęba i wymachuje przednimi kopytami, a potem ustawia się przede mną z błyszczącymi oczami i nastawionymi uszami, cały spięty i gotowy do działania, gdy tylko się ruszę. Patrząc mu prosto w oczy i stojąc nieruchomo, a następnie doskakuję do jego boku i klepię go delikatnie z tyłu. Obracam się dookoła, by zrobić unik przed Altaïrem, który usiłuje mnie popchnąć w odwecie. Za dobrze go znam! Byłem obecny podczas jego trudnych narodzin i karmiłem go butelką przez pierwszych kilka dni, gdy matka nie była w stanie tego robić. Często zasypiałem wtulony w niego. Byliśmy nierozłączni. Mój ojciec opiekował się matką Altaïra, korzystając ze swojej wiedzy na temat opatrunków i naparów ziołowych, i zachęcał ją do karmienia małego. Podczas porodu okropnie cierpiała. Była tak osłabiona, że nie pozwalała żrebakowi zbliżyć się do

siebie. Nigdy jednak nie widziałem, by jakiś koń długo sprzeciwiał się mojemu ojcu. W końcu zaakceptowała swojego syna. Wówczas miałem ojcu za złe, że rozdzielił mnie z Altairem, lecz później zrozumiałem, że było to dla jego dobra. Specjalna więź między nami przetrwała i Altair, który wyrósł na okazałego rumaka, wciąż bawi się ze mną tak jak wtedy, gdy był małym źrebakiem, a moje serce w takich chwilach wypełnia niesamowita radość.

Robię unik przed kolejną próbą pchnięcia i uciekam biegiem. Altair szybko mnie dogania, wyprzedza i zatrzymuje się tuż przede mną. Udaję, że chcę uciec w jedną stronę, potem w drugą, lecz Altair również dobrze mnie zna i przewiduje kierunki, blokując mi drogę. Kręcimy się w kółko jak w tańcu, aż mój wierny wierzchowiec w którymś momencie doprowadza mnie do utraty równowagi. Przewracam się i upadam na śnieg zupełnie jak ten kościany cylinder, który upuściłem. Wybucham gromkim śmiechem.

– Wygrałeś!

Altair podskakuje z dumą, po czym pochodzi do mnie i szturcha nosem. Wciąż leżąc na ziemi, zarzucam mu ręce na kark i delikatnie wydycham powietrze w jego grzywkę. Altair kładzie się ostrożnie na ziemi obok mnie, dając mi zaproszenie nie do odrzucenia. Opieram się o jego grzbiet, przekładam nogę przez bok i Altair powoli wstaje, zabierając mnie na wesołą przejażdżkę. W takich chwilach czas staje w miejscu i nic innego się nie liczy oprócz naszej niesamowitej więzi.

Tym razem jednak nasilający się ryk silnika sprowadza mnie na ziemię. Mały punkt na niebie szybko rośnie w promieniach wschodzącego słońca i zbliża się w naszym kierunku z dużą prędkością...

Prostuję się na grzbiecie Altaïra, by go przystopować i skłonić do przejścia w kłus, a potem stępa. Mój koń potrząsa łbem z dezaprobatą i głośno parska. Łapiemy oddech w chwili, gdy maszyna z głuchym łoskotem ląduje na śniegu kilka metrów od nas. Zaniepokojony Altaïr obserwuje intruza, węsząc i poruszając uszami we wszystkich kierunkach. Jego mięśnie drżą w gotowości do ucieczki lub konfrontacji z potencjalnym drapieżnikiem. Głaszczę go i przemawiam łagodnym głosem, by go uspokoić, ale wciąż wyczuwam jego napięcie. Przyglądam się małemu, wyposażonemu w narty samolotowi o opływowych kształtach. Bardziej przypomina odrzutowiec Jamesa Bonda niż wielki helikopter, którego się spodziewałem. Z boku maszyny widnieje logo Hannibal Corp, duża litera H wpisana w trójkąt równoboczny. Silniki gasną, otwiera się boczne okno kokpitu, a rampa bezgłośnie opada na ziemię.

Pilot zdejmuje hełm i okulary przeciwsłoneczne, i wychodzi z samolotu. Ściskam Altaïra łydkami, by podszedł do przybysza, lecz mój koń stoi twardo wszystkimi czterema kopytami w śniegu i nie zamierza się ruszyć. Moje wysiłki spełzają na niczym, więc w końcu zsiadam z konia i sam podchodzę do pilota. Wyczuwam niepokój i nieufność mojego rumaka, który z tyłu tupie kopytami. Próbuję go uspokoić, lecz wciąż drecze tam i z powrotem. Przyglądam się uważnie wysokiej postaci idącej w moim kierunku. Mimo że lekko kuleje, mężczyzna roztacza aurę niezwyklej pewności siebie, i to nie tylko z powodu drogich butów trekkingowych i eleganckiego, doskonale skrojonego ubrania w zachodnim stylu, które jest zarazem lekkie i ciepłe. Ma gęste, czarne włosy i schludnie przystrzyżoną, miejscami siwiejącą brodę. Zbliżamy się do siebie powoli, niczym dwaj kowboje z westernu, bez spoglądania na boki. Instynktownie kładę lewą dłoń w kieszeni na cylindrze i trzymam go mocno, jakby był pistoletem. Wreszcie stajemy naprzeciw siebie twarzą w twarz, zupełnie jakbyśmy mieli stoczyć pojedynek na śmierć i życie... Brak mi tchu. Kto pierwszy zareaguje?

Pilot wyciąga do mnie rękę ubraną w rękawiczkę, jakby na powitanie, więc w odruchu grzeczności wyciągam swoją. Szybko jednak orientuję się, że nie o to chodziło. Jego otwarta dłoń sygnalizuje oczekiwanie na wręczenie przedmiotu, po który przyjechał. Moja prawa ręka opada bezwładnie, niechętnie wyciągam z kieszeni cylinder i wręczam mężczyźnie. Gdy go widzi, natychmiast traci zainteresowanie moją osobą. Jego usta wykrzywiają się w uśmiechu, a palce zaciskają wokół przedmiotu. Niebieskie oczy patrzą na mnie chłodno zza słonecznych okularów. Dopiero gdy mężczyzna przemawia ochrypłym głosem z charakterystycznym akcentem, uświadamiam sobie, że to sam John Fitzgerald Hannibal!

– Jestem panu bardzo wdzięczny. Ten przedmiot ma ogromną wartość... dla nauki.

Chcę mu zadać mnóstwo pytań, by dowiedzieć się więcej o cylindrze, wygrawerowanych na nim symbolach i miejscu jego pochodzenia, ale nie potrafię wykrztusić ani słowa i tylko

stoję tam z otwartymi ustami, jak jakaś głupia ryba. Gdy Hannibal wręcza mi grubą kopertę, kręcę głową i mamroczę pod nosem:

– Ależ nie ma potrzeby. To... to przecież dla dobra nauki.

Hannibal chichocze i próbuje wepchnąć mi kopertę do koszuli. W tym momencie Altaïr, najwyraźniej myśląc, że jestem atakowany, gwałtownie szarżuje w stronę Hannibala, który potyka się i upada na ziemię. Nie był to przyjazny szturchaniec, jak podczas zabawy ze mną, lecz zdecydowany atak. Rozszerzone nozdrza i płasko położone uszy wskazują, że jest gotów do zdeptania i pogryzienia mojego wroga bez cienia litości. Podbiegam do Hannibala, by pomóc mu wstać, lecz wyraz jego twarzy mrozi krew w moich żyłach i sprawia, że cofam się o krok.

Wpadł w furję. Wstaje i z wściekłą miną wyciąga z kieszeni cienką pałkę teleskopową. Rozkłada ją, robi zamach i wyjątkowo brutalnie uderza Altaïra. Na jego karku pojawia się długa, krwawa pręga. Bez namysłu rzucam się z uniesionymi rękami między Altaïra i Hannibala i przyjmuję na twarz kolejny cios pałką wymierzony w mojego konia:

– Niech pan przestanie! Proszę! On pana nie skrzywdzi!

Hannibal zgrzyta zębami, a jego nozdrza się rozszerzają. Na jednym z policzków widać nerwowe drżenie. Nie spuszczać Hannibala z oczu, delikatnie kładę rękę na karku Altaïra i wyszeptuję kilka uspokajających słów. Hannibal cedzi wolno:

– Lepiej, żebyś już więcej nie pozwalał mu się do mnie zbliżać.

Przesuwam dłoń z karku na czoło Altaïra, odpycham go i gwizdźę donośnie. Altaïr odsuwa się, odwraca i szybkim klusem, z podniesionym ogonem i uszami skierowanymi do tyłu, oddala się na bezpieczną odległość. Widać po nim, że jest wściekły i gotowy do ataku, jak tylko zauważy jakiś podejrzaną ruch, ale wiem też, że będzie mi posłuszny. Hannibal opuszcza broń, lecz jej nie odkłada. Idzie do swojego samolotu, wchodzi po rampie i zatrzaskuje za sobą okno kokpitu. Silniki uruchamiają się i maszyna odlatuje, czemu towarzyszy nerwowe rżenie Altaïra. Dopiero teraz oblatuje mnie strach, a moje nogi drżą jak liście na wietrze. Uderzam się w policzek, by wziąć się w garść, i mówię sobie, że najgorsze już za mną. Głęboko oddycham i idę do mojego trzęsącego się konia.

– Ja... Ja... Chodźmy już.

Wcieram trochę śniegu w ranę Altaïra, by ją oczyścić, i nie patrzę nawet na banknoty wyfruwające z koperty, którą upuścił Hannibal. Następnie wracam pieszo do obozu, kompletnie przygnębiony i zdenerwowany tym spotkaniem, niczym biedny, samotny kowboj...

Gdy docieram do obozu, wszyscy już się krzątają przy codziennych obowiązkach i nikt nie zwraca na mnie uwagi. Altaïr idzie się napić do rzeki, a ja z ciężkim sercem wchodzę do pustej jurty i pakuję laptopa oraz kilka innych rzeczy potrzebnych na wyjazd do Ułan Bator. Jeśli się pospieszę, powinienem zdążyć na jedyny odjeżdżający dziś autobus. Muszę z kimś porozmawiać o tym, co zaszło, ale niestety nikt z mojej rodziny nie może mi pomóc...

– Głupi jesteś, trzeba było wziąć tę forszę! Mógłbyś sobie za to kupić nowy deel!

Po niemiłosiernie długiej podróży, w trakcie której nie byłem w stanie zmrużyć oka nawet na chwilę, słowa Salonqi bardzo mnie zabolowały. Przeważnie wykazuje się niezwykłą bystrością, ale tym razem wyraźnie nie rozumie, dlaczego nie mógłbym przyjąć niczego od kogoś takiego jak Hannibal. Mimo całej dobroczynnej działalności, jaką prowadzi, facet musi być naprawdę chory, skoro potrafił z taką brutalnością uderzyć Altaira. Biorąc od niego pieniądze, czułbym się bardzo źle.

Salonqa wzdycha głęboko i ziewa przeciągle, co przypomina mi, że wyrwałem ją z łóżka, akurat gdy szykowała się do snu. Idzie do łazienki i wraca z maścią antyseptyczną, bawełnianym wacikiem i bandażami. Nogą popycha krzesło i wskazuje na nie podbródkiem.

– Wyglądasz jak po walce z niedźwiedziem. Najpierw trzeba oczyścić ranę, a potem pokażesz mi zdjęcia cylindra. Musi być naprawdę cenny, skoro Hannibal osobiście po niego przyleciał.

– To boli!

– Ale z ciebie mięczak! No już, po wszystkim.

Gdy Salonqa zaczyna przeglądać zdjęcia na moim telefonie, natychmiast opuszcza ją zły humor i zastępuje go wielka ciekawość.

– To niesamowite!

Następnie sięga do szuflady biurka i wręcza mi notatnik i ołówek.

– Szkoda, że nie sfotografowałaś tego kościanego cylindra. Wtedy na pewno moglibyśmy ustalić coś więcej na jego temat. Ale spróbuj go narysować z pamięci, ten koński łeb i całą resztę symboli.

– Tak jest, szefie! Podczas gdy ja rysuję z ołówkiem w rękę, jak dzieciak z podstawówki, Salonqa przesyła zdjęcia na dysk swojego laptopa. Układa je w prostokąt, który po zrolowaniu i przekształceniu na model 3D, wygląda zupełnie jak oryginalny cylinder. Jestem pod wrażeniem.

Salonqa rzuca okiem na mój szkic, a następnie skanuje go i edytuje tak samo jak zdjęcia.

– Czy cylinder był podobny do tego?

– Pomijając fakt, że mój szkic wygląda jakby narysowała to koza cierpiąca na Parkinsona, to tak.

Salonqa zamyśla się na chwilę, po czym spogląda na mnie z powagą.

– Starożytny język i dziwne symbole. Będziemy potrzebowali pomocy w rozszyfrowaniu tego wszystkiego. Myślisz, że możemy poprosić o nią „Sieć”?

Sieć... Czyli wszyscy internauci, zarówno ci anonimowi jak i specjaliści w swoich dziedzinach, którzy pomogli nam stworzyć system edukacji dla dzieci mongolskich nomadów. Sieć składa się z osób o różnych narodowościach, które posiadają wiedzę z wielu dziedzin i nawzajem sobie pomagają. Zatem znakomicie nadawałaby się do poszukiwania odpowiedzi!

Parząc mocną herbatę, słyszę, jak Salonqa przebiera palcami po klawiaturze jak nawiedzona. Gdy postanowi zabrać się za jakiś projekt, przejawia taką siłę woli i energię, że nikt i nic jej nie powstrzyma... Wyobrażam sobie, jak marszczy czoło i niecierpliwie zdmuchuje włosy sprzed oczu. Jej długie, szczupłe palce tańczą na klawiaturze, co jakiś zatrzymując się, by założyć włosy z powrotem za ucho. Mówi, że pewnego dnia je wszystkie zgoli. Modlę się, by nigdy tego nie zrobiła, bo szaleję za jej szalonymi mahoniowymi loczkami blokującymi światło. Mógłbym je głaskać godzinami, delectując się ich zapachem. Stoję tam jak idiota, z dwoma kubkami herbaty, które parzą mnie w dłonie, i wpatruję się w jej plecy jak zahipnotyzowany, aż w końcu Salonqa wciska z impetem klawisz Enter i opiera się wygodnie na krześle, z rękami wyciągniętymi do tyłu, rozciągając szyję i rozsuwając szeroko palce.

Wstaje z krzesła i podchodzi do mnie, by wziąć kubek z herbatą.

– Dzięki! Tylko co się tak na mnie gapisz? Mam atrament na twarzy czy co?

Oczywiście nie jestem w stanie wyznać, jak bardzo jestem nią oczarowany i jak bardzo ją lubię. Odwracam wzrok i czując, że moja twarz oblewa się rumieńcem, pytam:

– Masz tu gdzieś lustro?

Po takiej kretyńskiej uwadze każda inna dziewczyna dzieliłaby mnie w twarz albo pobiegnęła sprawdzić, jak wygląda w lustrze. Ale nie Salonqa. Odpowiedziała z typową dla siebie bystrością:

– Tak, w plecaku. A co, chcesz nałożyć szminkę?

Gdy tak siedziała rozciągnięta na krześle, z głową wiszącą w dół i rozpostartymi szeroko rękami, nagle spłynęło na mnie olśnienie: a może spróbujemy odczytać symbole z kościanego cylindra odwrotnie? Powracam myślami do chwili, w której upuściłem cylinder i zostawił on na ubitym śniegu prostokątne odbicie, i wyjaśniam:

– Symbole są wypukłe. Gdybyśmy zrobili odcisk cylindra na woskowej płytce lub glinianej tabliczce, tak jak nasi przodkowie, pozostawiony ślad byłby...

– Lustrzanym odbiciem!

Salonqa nie wyjmuje jednak lusterka z torby, lecz biegnie do komputera i wpisuje polecenie, aby obrócić zdjęcia. Następnie wykrzykuje z zaskoczeniem:

– Ależ genialny sposób na przekazanie pisemnej wiadomości. Cylinder łatwiej ukryć, zajmuje dużo mniej miejsca i nie niszczy tak szybko jak gliniana tabliczka czy pergamin. Po obróceniu symbole przypominają starożytną grekę. Widać zbitki słów i te wszystkie splecione znaki geometryczne... Tylko jakie tajemnice się za tym kryją???

Jakby na potwierdzenie moich przeczuć, odbieramy wiadomość od Talili, australijskiej studentki sztuki prymitywnej, z załączonymi zdjęciami kawałka kolorowego materiału w szklanej osłonie i szarego cylindra z wypukłymi symbolami, bardzo przypominającego nasz. Przez środek cylindra przebiega wrzeciono, a obok stoją terakotowe naczynia z kolorowym atramentem. Wiadomość jest napisana w lekko ironicznym tonie:

„Hej, jeśli planowaliście opracować nowatorską technikę powtarzalnego drukowania etnicznych wzorów na materiałach, by zapoczątkować nowy trend w modzie, to muszę was rozczarować: zgłoszenie patentowe złożono w Fenicji już ponad 2500 lat temu! I zatrudnijcie profesjonalnego projektanta do robienia szkiców, no chyba że chcecie uzyskać „prymitywny” efekt!

Salonqa wysłała wiadomość z podziękowaniem do Talili, po czym odwraca się ku mnie z zadziornym błyskiem w oczach.

– Gdybym miała glinianą tabliczkę i zrobiła na niej odcisk cylindra, wydrukowałabym w ten sposób ukrytą informację. Ale skąd mam wiedzieć, jak ją odczytać i co znaczą te symbole, skoro nie mam „dekodera”?

Ech, znowu się zaczyna. Jestem informatykiem, specjalistą od szyfrowania danych, a nie hakerem, który łamie tajne kody! Wszyscy moi znajomi proszą mnie o pomoc za każdym

razem, gdy chcą obejrzeć filmy i seriale lub zagrać w gry za darmo i nigdy im nie odmawiam. Ale to jest zupełnie inna sprawa. Jak mam zrozumieć sposób myślenia ludzi żyjących w tak odległych czasach i rozszyfrować ich system kodowania? Nie potrafię jednak odmówić, gdy Salonqa spogląda na mnie swoimi pięknymi oczami, a jej delikatna dłoń spoczywa na moim ramieniu. Próbuję się wykręcić:

– Żeby wiedzieć, od czego zacząć, koniecznie muszę ustalić, z jakiego okresu pochodzą te symbole. Mogłabyś poprosić o pomoc znawców języków starożytnych i historyków specjalizujących się w starożytnych relikwiach?

Salonqa odpowiada promiennym uśmiechem i wręcza mi mój laptop.

– Wysłałam ci już te obrazy. Dasz radę!

Następnie dolewa nam jeszcze herbaty. Noc dopiero się zaczęła!

Przed rozpoczęciem prac nad rozszyfrowywaniem archeologicznych zagadek, powracam myślami do chwili, w której znalazłem pierwszy cylinder, częściowo pokryty węzową skórą. Następnie przywołuję w pamięci niezwykle obraz konia w bryle lodu. Czy istnieje jakiś związek między tym cylindrem a koniem? Gdy połączyłem się z kamerami w tymczasowym laboratorium niedaleko miejsca mojego wypadku, lowelas Jargal badał właśnie skórę węża. Muszę się wyzbyć tej głupiej zazdrości i ustalić, czego się dowiedzieli w laboratorium. Zobaczyć, jak daleko doszli. Hannibal ma do dyspozycji szybki samolot, więc naukowcy z pewnością badają już ten metalowy cylinder. A może nawet zdążyli rozszyfrować ukryte w środku zakodowane wiadomości?

Wydaję polecenie głosowe, by połączyć się z kamerą w tymczasowym laboratorium, i powiększam obraz sekcji zajmującej się badaniem skóry węża. Sądząc po tłumie osób zebranych wokół biurka Jargala, analizy poszły mocno do przodu. Jednak nie, wszyscy patrzą na ekran, który pokazuje tworzące romboidalny wzór łuski węzowej skóry, rozciągniętej i ściśniętej między dwoma dużymi szkiełkami. Jakiś naukowiec, prawdopodobnie herpetolog, specjalista od płazów i gadów, przedstawia wyniki swoich badań.

– Wstępnie oszacowaliśmy, że ten okaz, przedstawiciel wyjątkowo jadowitego podgatunku vipera ammodytes meridionalis, żył około 2300–2400 lat temu. Według naszej bazy danych nie może on pochodzić z Mongolii ani sąsiednich regionów, ponieważ ten gatunek występuje tylko na obszarze wysp greckich. Został tutaj przywieziony, najprawdopodobniej już po śmierci, o czym świadczą ślady tego niemalże chirurgicznego cięcia. Narządy wewnętrzne zostały wycięte, a w ich miejsce włożono... coś innego. Jakiś przedmiot o długości do 20 cm i średnicy 3 cm. Skórę wyszorowano, a następnie zasolono, by ją oczyścić i zakonserwować. Przy krawędziach wykonano otwory i zaszyto przedmiot w środku... Mówiliście, że jeszcze go nie znaleziono?

Zagotowało się we mnie! Hannibal nie przekazał im cylindra? Zatrzymał go dla siebie? On, człowiek uważany za obrońcę nauki?!

Na dalsze oburzanie się nie mam zbyt czasu, moją uwagę przyciągają bowiem wydarzenia na ekranie. Szklana płytka obraca się i można zobaczyć, co jest wewnątrz. Mrużę oczy i na skórze węża dostrzegam zarysy symboli wygrawerowanych na metalowym cylindrze, w tym dwie gwiazdy!

– A teraz głos zabiorą moi koledzy z wydziałów językoznawstwa i symbologii! – zakończył herpetolog. – Byłbym bardzo wdzięczny za kolejne informacje o waszych postępach w badaniach.

Normalnie w takiej sytuacji wysłałbym do laboratorium zdjęcia modeli, które opracowała Salonqa, ale byłem tak zszokowany brutalnością Hannibala i przestraszony jego ogromną

potęgą finansową, że siedziałem tylko jak sparaliżowany – zupełnie jak w dzieciństwie, gdy coś przeskrobałem, wywołując u ojca atak szału. Pewnego dnia będę musiał wydorosnąć i pozbyć się tej strachliwości, ale w tej chwili nie mogę się pozbyć myśli o tym, co Hannibal ze mną zrobi, jeśli się dowie, że wysłałem zdjęcia do laboratorium. Co powinienem zrobić?

Na szczęście Salonqa odrywa się na chwilę od poszukiwań i poświęca mi uwagę, wyrывая mnie z beczynności.

– Zdaniem Anguélou Keusséoglou z Aten litery należą do któregoś z licznych starożytnych dialektów greckich. Ta może pochodzić z połowy czwartego wieku przed Chrystusem. Keusséoglou obstawia, że to attycko-joński, język urzędowy macedońskiego dworu, ale dla pewności chce przeprowadzić więcej analiz.

– Macedonia leży na północ od Aten, o ile dobrze pamiętam. Co udało mu się odczytać za pierwszym razem?

– Wygląda to na jakieś zaklęcie ochronne dla syna Zeusa lub jego konia. Oprócz tego są jeszcze dość nieprzyjemne groźby mające odstraszyć złodziei. To wszystko nie jest jeszcze do końca jasne. A ty co ustaliłeś? – dopytuje, siadając przy mnie i spoglądając na monitor.

Ze ściśniętym z niepokoju gardłem opowiadam jej o tym, czego się dowiedziałem na temat skóry węża, potwierdzając datę oszacowaną przez Keusséoglou. Mówię także o oszustwie Hannibala i swoich obawach co do wykorzystywania przez niego cylindra dla osiągnięcia własnych korzyści. Salonqa wydyma wargi z powątpiewaniem.

– Nie bardzo widzę, co miałby w ten sposób osiągnąć poza powiększeniem swojej kolekcji archeologicznych gadżetów. W zasadzie to nic nie wiem o Hannibalu, oprócz tego że prowadzi międzynarodową działalność i jest filantropem. A ty dowiedziałeś się czegoś na jego temat?

Kręcę przecząco głową. Salonqa przeciera oczy i wraca do komputera.

– Zobaczmy, co o nim piszą w sieci. Może to pomoże zdusić tę twoją paranoję w zarodku!

Mam szczerą nadzieję, że Salonqa się nie myli. Wciąż czuję jednak dziwny niepokój. Co ukrywa Hannibal pod tym nienagannym wizerunkiem?

Salonka szuka informacji na temat Hannibala, a ja wracam do oglądania transmisji z kamer.

– Nie uwierzysz! - Zakrztusiłem się nagle.

– Co? Dowiedziałeś się czegoś nowego na temat tego wstrętnego Hannibala?

– Speleolodzy odnaleźli jeźdźca, do którego należał koń z dna tej skalnej szczeliny, do której wpadłem. Spójrz na te zdjęcia!

Dzięki kamerom umieszczonym na kaskach speleologów możemy zobaczyć dno przepaści, w której wylądował niefortunny jeździec.

Salonka siada obok i wsuwa rękę pod mój łokieć, chwytając mnie za ramię.

– I pomyśleć, że tobie też mogło się to przydarzyć...

Gdyby nie tragiczny obraz powyginanych, zamarzniętych zwłok, objąłbym ją, pocałował w szyję i włosy, a potem musnąłbym jej usta...

– Widziałeś to? – wykrzykuje nagle, odsuwając się ode mnie, by wskazać coś na ekranie.

No nie, tylko nie chcę słyszeć, że zabójczy uśmiech Jargala wciąż na nią działa! W każdym razie znowu przegapiłem okazję. Czasem wolałbym, żeby Salonka nie była aż tak inteligentna i dociekliwa. Każda inna dziewczyna z pewnością już dawno uległaby mojemu nieodpartemu urokowi. Ale z drugiej strony, jaka inna dziewczyna mogłaby mnie zainteresować?

– Biedak wciąż nosi zbroję na tunice i zgubił gdzieś sandał.

A więc zainteresował ją jeździec. Wyobrażam sobie, że ten starożytny wojownik ma u boku miecz, a na łydkach ochraniacze sięgające aż do sandałów. Przez chwilę widzę siebie, jadącego w zimie w sandałach na grzbiecie Altaira, i przeszywa mnie mimowolny dreszcz. W porównaniu z dawnymi wojownikami jestem niezłym mieczakiem...

– Wracajcie na górę. Niczego nie dotykajcie, wyślemy tam zaraz ekipę –

woła ktoś i speleolodzy opuszczają miejsce odkrycia. Ku mojemu ogromnemu rozczarowaniu, ich kamery odwracają się od jeźdźca i kierują z powrotem ku skalnym występom z linami, karabinkami, ekspresami i śrubami.

W laboratorium wybucha ożywiona dyskusja. Niektórzy mówią o wielkim odkryciu historycznym i nagrodzie Nobla, inni sugerują, że należy powiadomić media. Kierownik laboratorium prosi o ciszę. Ponurym tonem ogłasza:

– Musimy się spakować. Decyzją rządu Hannibal Corp przejmie resztę operacji.

Spośród chóru zawiedzionych komentarzy wyłowilem jeden głos pozbawiony złudzeń.

– Wyślą tu teraz wielkie nazwiska i przypiszą sobie wszystkie zasługi. Przekopią tę całą górę i wszystko, co znajdą wywiozą z powrotem do Stanów w swoich samolotach z chłodniami. A my...

Salonqa przygląda mi się przez dłuższą chwilę.

– Kiedy dokładnie wyjeżdżasz do Massachusetts? Chciałabym zauważyć, że jedna ze spółek zależnych Hannibal Corp jest najsłynniejszym światowym ekspertem w dziedzinie kriogeniki, a jej siedziba znajduje się tylko kilka kilometrów od MIT.

Nagle zdaję sobie sprawę, że wcale nie mam ochoty jechać do Stanów, podczas gdy Salonqa zostanie w Mongolii. Na samą myśl o tym, czuję się załamany.

– Yyy... w Stanach trzeba mieć skończone 21 lat, by być pełnoletnim, więc potrzebuję zgody ojca.

– No i?

– Nie pytałem jeszcze – moja odpowiedź brzmi żałośnie. – Ale ja...

– Wstydzilibyś się! – oburza się Salonqa, stając przede mną z błyskiem w oczach i rękami na biodrach, niczym wojownicza bogini. – Bierz się do roboty! Spakuj rzeczy i wracaj natychmiast do domu. Gdy stajesz przed szansą studiowania na najlepszej uczelni, nic innego się nie liczy!

To powiedziawszy, zatrząskuje mi drzwi przed nosem. Ależ ze mnie idiota!

Z ciężkim sercem opuszczam akademik. Powiniennem wykorzystać pozostałe do świtu godziny, żeby złapać trochę snu, lecz mój mózg cały czas pracuje na wysokich obrotach i raczej nie zmrużyłbym oka. Włóczę się więc po pustych ulicach, pełnych identycznych budynków z betonu, wzniesionych przez Sowietów w latach 70. XX wieku. Z przyzwyczajenia nogi niosą mnie w kierunku uniwersytetu. Korzystając z karty magnetycznej, wchodzę od strony biblioteki, czyli miejsca poszukiwań informacji lub schronienia dla studentów cierpiących na bezsenność. W środku nikogo nie ma. Kieruję się do działu historycznego i przeglądam oznaczenia na półkach, by znaleźć sekcję historii starożytnej, a następnie przesuwam palcem wskazującym, wciąż owiniętym bandażami, po grzbietach książek. Czy gdzieś w tych starych zbiorach kryje się odpowiedź na pytanie, co ten starożytny jeździec robił wysoko w mongolskich górach Altaj?

– Nie możesz spać, młodzieńcze?

Wydaję z siebie okrzyk zaskoczenia i odwracam się w kierunku, z którego dobiega głos. Za stołem książek ułożonych na stole dostrzegam znajomą łysą głowę.

– Profesor Temudjin!

– Siadaj przy mnie i powiedz mi, czego szukasz. W termosie mam trochę herbaty.

Po kilku łykach słonej herbaty udaje mi się wydukać kilka niezrozumiałych słów. Profesor uśmiecha się szerzej i potakuje, by zachęcić mnie do kontynuowania opowieści. Odblokowałem się. Opowiadam mu o swoich obawach związanych z wyjazdem do Ameryki i wyrwaniem ze znajomego mi otoczenia, brakiem wiary we własne siły i konfrontacją z ojcem... Gdy wreszcie kończę, profesor omiata wzrokiem biblioteczne półki, z zatroskanym wyrazem twarzy.

– Ciekawe, że akurat przyszedłeś szukać odpowiedzi w tych starych księgach. Ale jak wiesz: „świat jest jak księga, a kto nie podróżuje, ten zna tylko jedną stronę”. Powiedział to święty Augustyn, berberyjski teolog i filozof chrześcijański z V wieku.

Kiwam głową. Profesor zna mój głód wiedzy i wie, jak mnie zmotywować. Nalewa mi jeszcze trochę herbaty i pyta:

– Co cię przyciągnęło do sekcji historii starożytnej? Nagła potrzeba uzupełnienia wiedzy?

– Nie, profesorze. Zaraz wszystko wyjaśnię – kontynuuję, uruchamiając laptopa, by pokazać mu zdjęcia cylindrów.

W niekończącym się potoku słów opowiadam mu o wszystkim, co odkryliśmy z Saloną. Na wzmiankę o niej oczy profesora rozbłysnęły. Nic jednak nie powiedział i słuchał dalej z uwagą. Gdy skończyłem mówić, przez dłuższą chwilę milczał. Następnie wymamrotał imię.

– Kubilaj. To jeden z naszych najbystrzejszych absolwentów, pracuje teraz dla Hannibal Corp. Opracował firmowy system bezpieczeństwa. Chyba już wcześniej o nim wspominałem, nawet dość często. Mogę cię z nim skontaktować, chcesz? W ten sposób unikniesz ryzykownych „włamań”. Hannibal Corp to potężna organizacja i do tego niebezpiecznie dobrze poinformowana.

Z wdzięcznością przyjmuję propozycję. Następnie profesor wyjmuję ze swojej starej walizki coś zawiniętego w tłusty papier.

– Jedz. Musisz nabrać sił, zanim wyruszysz w podróż przez stepy.

Nadaremnie próbuję odmówić, lecz wiem, że nie mam szans. Dziękuję więc profesorowi, kłaniam się z szacunkiem i wychodzę z biblioteki. Wracam pieszo przez miasto, które teraz powoli się budzi, i idę na przystanek autobusowy. Rozmowa z nauczycielem dobrze mi zrobiła. Pozostaje stawić czoła ojcu!

Lecz gdy docieram w końcu do rodzinnego obozu, mam ochotę krzyczeć z rozpacz. Nikogo nie ma! Zapewne postanowili zmienić położenie obozu i w ciągu dwóch-trzech godzin rozebrali jurty i spakowali całe wyposażenie. Na ziemi widać odciski kopyt i ślady stad idących na południe, ale nie mam pojęcia, dokąd mogą zmierzać. Głęboko wzdychając, wspinam się po zaśnieżonym zboczu górskim, by uzyskać lepszą perspektywę. Osłaniając rękami oczy przed odbijającym się od śniegu oślepiającym słońcem, dostrzegam w oddali dużą, ciemną grupę przemieszczających się ludzi. To cały nasz aíl razem ze stadami. Wygląda na to, że będę musiał się pospieszyć, by ich dogonić...

Czuję, jakbym szedł już od wieków i zaczynam poważnie opadać z sił. Po tej marnej imitacji pączka od profesora pozostało już tylko wspomnienie i naprawdę mam nadzieję, że grupa jest niedaleko. Na ziemi jest coraz mniej śniegu i gdzieś tam przebijają się zielone pędy trawy, przywołujące wiosnę dzięki swej niezwykłej skłonności do rozrastania się. Hulający po stepie wiatr niesie z sobą odgłosy beczenia owiec i ludzkich rozmów. Jestem już prawie na miejscu. Wreszcie! Na szczycie pagórka rozpościera się przede mną wspaniały widok. Zalana słońcem, nieskalana trawiasta dolina przecięta dopływem rzeki. Ail wybrało ją na nowe pastwisko dla krów, owiec i koni, którym bardzo się tu podoba i nie mogą się doczekać, aż skosztują świeżej trawy. Ten pokrzepiający widok dodaje mi energii i wkrótce docieram do obozu.

Rozpoznaję sylwetkę ojca, który razem z Gambatem i kilkoma innymi mężczyznami z ail wbija pale pod zagrody dla owiec. Pozostali na planie okręgu rozkładają wklęsłe stelaże, niczym akordeony. Następnie do środkowej kopuły przymocowują duże, powiązane razem słupki, które przypominają pręty w parasolce, podnoszą całą konstrukcję i umieszczają ją na dwóch centralnych filarach. Na koniec ta samopodtrzymująca się budowla jest dodatkowo wzmocniana poprzez zawiązywanie solidnych węzłów na skórzanych linach opasających jurte. Często powtarzam, że mongolscy nomadowie to żeglarze stepów!

Dostrzegam matkę, która rozkłada na ziemi filcowy dach, i podchodzę do niej rozweselony. Jej oczy błyszczą, a twarz rozświetla szeroki uśmiech, lecz z objęciami będziemy musieli poczekać, aż skończy pracę. Chwytam słupek, wsuwam go w filc i pomagam sąsiadom podnieść i naciągnąć ciężki materiał na ramę. Umieszczamy go dookoła centralnej kopuły i ostrożnie przywiązujemy. Następnie rozkładamy boki filcu na okrągłym stelażu, od jednej do drugiej strony wejścia głównego, i również je przywiązujemy. W środku babcia i siostry rozkładają dywany na drewnianej podłodze w oczekiwaniu na wstawienie centralnego piecyka, łóżek i kufrów.

Gdy sąsiedzi sobie pomagają, przygotowanie jurt dla całego ail i rozpalenie ognia w piecykach zajmuje nie więcej niż dwie-trzy godziny. Następnie starsi składają ofiarę z mleka dla Tengri, ojca niebieskiego, naszych przodków i duchów opiekuńczych, aby czuwali nad stadami i mieszkańcami jurt. Rzucam się na słodkie pączki podane przez moje trajkoczące siostry, które koniecznie chcą mi opowiedzieć o najnowszych przygodach. Wtem rozlega się głośny huk. Obozowe psy zaczynają ujadać strasznymi głosami w stronę księżyca, jakby miały nie dożyć jutra. Zrywa się straszna burza, a step zalewa rześisty deszcz. Burze z piorunami są dla nas równie niebezpieczne co wilki atakujące stada. Po podłodze jurty płyną już całe potoki wody, zalewając dywan. Paniczne okrzyki kobiet i dzieci pobudzają mnie do szybkiego działania. Każę siostrą wspiąć się na łóżko i nie ruszać się stamtąd, dopóki nie wrócą dorośli. Następnie wybiegam z jurty, by pomóc grupie.

Matki zbierają dzieci i prowadzą je do jurt. Owce beczą i tratują się nawzajem w zagrodzie, przestraszone błyskawicznie podnoszącym się poziomem wody. Dlaczego zamknięto je w zagrodzie już teraz, skoro do zmroku zostało jeszcze sporo czasu? Gdzie są mój brat, ojciec i pozostali mężczyźni z ail???

O nie! Zapewne udali się na szczyt sąsiedniej góry, by złożyć hołd staremu drzewu, przyozdobić jego gałęzie kolorowymi wstążkami oraz pomodlić się do duchów przodków i duchów natury o pomyślną wiosnę. Zanim wrócą, nawet ryby w rzece zdążą się utopić w tym deszczu! Ktoś musi wydostać owce z zagrody! Gwiżdżę głośno i w odpowiedzi słyszę znajome rżenie: Altaïr biegnie ku mnie galopem, na przekór szalejącym żywiołom. Używając opanowanej w dzieciństwie techniki jazdy, obejmuję rękami jego kark, przerzucam nogi przez bok i siadam na grzbiecie. Ściskam mojego rumaka nogami i kieruję go ku zagrodom. Altaïr dzielnie toruje sobie drogę wśród rwących potoków, rozbijając kopytami fale błotnistej wody.

Docieramy do zagrody. Zrywam sznury z pali przy wejściu i owce wybiegają w ogromnej panice, spychając nas na bok. Biegną w równie zwartych szeregach, co krople deszczu spadające na nasze głowy i zacierają wprost ku wezbranej rzece. Kompletnie oszalały! Ściskam boki Altaïra i szybkim galopem doganiamy owce z przodu stada. Altaïr staje przed nimi dęba, zmieniając kierunek ich biegu. Świetna robota, mój wspaniały. Prowadzimy owce w górę strumienia, by schroniły się wysoko na zboczach góry. Gdy burza się skończy, będziemy musieli je znaleźć i liczyć na to, że wilki nie zabiją zbyt wielu, ale lepiej jest zaryzykować śmierć kilku owiec, niż stracić całe stado. Nauczył nas tego mój ojciec. Wtem słyszę z tyłu przeraźliwe beczenie. Opady deszczu są tak mocne, że zrobiło się zupełnie ciemno. Prę do przodu na ślepo, kierując się samym dźwiękiem, aż nagle ziemia znika spod kopyt Altaïra. Koń brodzi w strumieniu błota, który nieubłaganie prowadzi nas w stronę rzeki. W wodzie przed nami pluska się coś białego – to musi być jagnię. Kieruję Altaïra w jego stronę. Jedną ręką podnoszę jagnię i opieram na karku konia, przyciskając je do swojej klatki piersiowej. Mój rumak walczy ze wszystkich sił i w końcu udaje mu się wydostać z błotnistej potoku i wspiąć na stabilniejszą ziemię. Prycha i wiedziony instynktem, powraca do obozu.

Koniec burzy nastąpił równie niespodziewanie co początek i nad ziemią znów pojawiło się blade światło. Gdy najgorsze mamy już za sobą, czuję, jak adrenalina powoli opuszcza moje ciało. W oszołomieniu zmierzam w stronę jurt, by ocenić rozmiary szkód. Niczym tajfun trzęsący jachtem na oceanie, ulewa porwała wszystko, co nie było dobrze zabezpieczone. Wszędzie dookoła leżą rozrzucone rzeczy: rozwieszona do wyschnięcia bielizna, rozbite naczynia, siodła, połamane drewniane meble... Jakaś kobieta pędzi w moją stronę z krzykiem, a za nią podążają inni. Rzuca się na mnie i wyrwa z moich ramion jagnię, które przyciskałem mocno do piersi. Kobieta wije się i zawodzi słabym głosem.

– Taitchou! – powtarza w kółko, szlochając z ulgą.

Wtedy dociera do mnie, że to nie było żadne jagnię, tylko najmłodszy syn tej kobiety o imieniu Taitchou. Niedawno nauczył się chodzić i udało mu się wyrwać spod czujnego oka

matki. Postanowił więc pozwiedzać nowy obóz, a strumienie deszczu i błota uniosły go ze sobą. Całe szczęście, że Altair był na miejscu i pomógł mi go uratować! Pod moimi powiekami zaczynają przemykać czarne kształty, a ja czuję, jak ktoś mnie łapie, ściąga z grzbietu konia i prowadzi do jurty...

Gdy się budzę, nad mokrym stepem świeci piękne słońce. Ukośne promienie wpadają przez tonio, drewniane zwieńczenie dachu służące za ujście dla dymu i podporę dla całej konstrukcji. Oślepiony, mrugam kilkakrotnie, wstaję i kieruję się do wyjścia z jurty.

Otwierając drzwi, spostrzegam, że z moich rąk zniknęły bandaże. Tępym wzrokiem wpatruję się w posiniaczone opuszki palców. Po ocknięciu się z zadumy, robię kilka niepewnych kroków na błotnistym gruncie. Już prawie zmierzch. Mężczyźni z ail zapewne pospiesznie wrócili z pielgrzymki i teraz pomagają przy wspólnych pracach, takich jak zbieranie rozproszonych stad, suszenie dywanów, makat, mebli i gromadzenie innych porwanych przez ulewę rzeczy. Niepewność jest wpisana w koczowniczy tryb życia i trzeba się liczyć z wszelkimi zjawiskami, jakie mogą wystąpić na danym obszarze. Różnice temperatur od -40° do $+40^{\circ}\text{C}$, konieczność przenoszenia się z sezonu na sezon, a czasem nawet częściej, jeśli trzeba znaleźć nowe pastwiska. Nie wspominając już o tak nieoczekiwanych zjawiskach pogodowych jak burze. Podziwiam niezłomność mojego ludu i ich niezachwianą solidarność w obliczu trudności. Nie ma ani jednego słowa skargi, wręcz przeciwnie – motywują się wzajemnie do pracy, śpiewając gardłowe pieśni.

Dostrzegły mnie młodsze siostry i teraz biegną ku mnie, piszcząc niczym dzikie gęsi. Oplatają mnie ciasno i przewracają na ziemię, obsypując całusami, a ich śmiech pobrzmiwa w moich uszach. Nagle pojawia się nade mną cień zasłaniający ostatnie blade promienie słońca i moje siostry milkną. Uciekają gdzieś równie szybko jak się pojawiły, a ja czym prędzej się podnoszę i staję oko w oko z ojcem.

Przygląda mi się beznamiętnie przez dłuższą chwilę. Potem powoli rozpościera ramiona i obejmuje mnie, co przyjmuję z ulgą. Cały czas milcząc, ojciec ruchem ręki zaprasza mnie do jurty i wskazuje, bym usiadł. Jestem śmiertelnie przerażony, ale robię wszystko, co mogę, by tego nie okazywać. Ojciec wyjmuje z kieszeni metalowe pudełko, otwiera je, a następnie wręcza mi. Och! Czy to tabaka? Czy to znaczy, że uważa mnie za mężczyznę? Lekko drżącymi rękami biorę porcję tabaki, kładę ją na grzbiecie dłoni między kciukiem a palcem wskazującym i wciągam nosem cierpką substancję. Natychmiast dostaję ataku kichania, podczas gdy ojciec delektuje się tabaką z niezmaconym spokojem. Ciekawe, czy kiedykolwiek przyzwyczaję się do tego męskiego rytuału. Gdy kichanie w końcu ustaje, zerkam nieśmiało na ojca i czekam, aż coś powie.

– Rozmawiałem z twoją matką.

Zapada długa cisza, niepokój zjada mnie od środka niczym głodny szczur. Ojciec poważnym tonem ciągnie dalej:

– Przykro mi, że nie chcesz być koczowniczym pasterzem tak jak twój ojciec i jego przodkowie. Modliłem się nawet do Tengri z nadzieją, że się opamiętasz. Postanowiłem jednak uszanować twój wybór.

Moje serce na chwilę się zatrzymuje. Ojciec wzdycha lekko i podnosi się, by wyjść z jurty. Natychmiast wstaję i kłaniam się przed nim z podziękowaniem. Następnie wyjmuję ze swojego deela zrolowaną kopertę i wsuwa mi ją do kieszeni.

– Bądź ostrożny w Ameryce.

Wychodzi szybko z jurty, nic więcej nie mówiąc. Chyba jeszcze nigdy nie wypowiedział tylu słów naraz. Rozwijam otrzymaną od niego kopertę i otwieram ją. W środku jest pozwolenie na podjęcie przeze mnie, osobę niepełnoletnią, studiów na MIT. A także plik pogniecionych tugrików o niskich nominałach. Znowu się zaczyna. Oczy mnie pieką i czuję, jak wzbiera fala łez. Tym razem pozwalam im płynąć.

W drodze na autobus do Ułan Bator niespodziewanie spotykam profesora Temudjina z Saloną. Chce mnie podwieźć swoim starym rozklekotanym samochodem i bez żadnych wstępów pyta, czy mój pobyt był pomyślny. W odpowiedzi pokazuję wymiętą kopertę, a profesor kiwa głową z zadowoleniem. Z kolei Saloną jest bardzo rozmowna.

– Profesor Keusséoglou powiedział mi, skąd pochodzą symbole i cylindry. Są z Macedonii i datują się na okres między 350 a 330 rokiem p.n.e. Niestety znaki geometryczne wciąż stanowią dla niego zagadkę.

– Profesorze, jaka była wiedza na temat matematyki i geometrii w tamtym okresie?

– W 600 r. p.n.e. Pitagoras sformułował szereg kluczowych koncepcji, które stosujemy do dziś, takich jak liczby całkowite, liczby kwadratowe, właściwości trójkątów prostokątnych, liczba pi, złoty podział czy pentagram, i wyraził je za pomocą składników matematycznych. Wiele tajnych stowarzyszeń do dziś twierdzi, że głoszą nauki pitagorejskie, na przykład wolnomularze, i...

Mój profesor jest niezwykłym pasjonatem i mógłbym go słuchać godzinami. Jednak w tym momencie muszę się skupić na konkretnym zadaniu, więc używam dość oklepanego sposobu: kaszlę głośno, by mu przerwać.

– A zatem cylindry pochodzą z okresu, w którym Pitagoras formułował te wszystkie koncepcje?

– Zdecydowanie. Ta wiedza dotarła na wszystkie ówczesne dwory królewskie. Profesorowie byli nazywani preceptorami. Książęta i arystokraci kształcili się u nich w zakresie filozofii, nauk ścisłych, strategii wojskowych...

Profesor w tym momencie przerywa, ponieważ dojeżdżamy na parking uniwersytecki. Po wejściu do biblioteki Saloną prowadzi mnie do stołu wypełnionego książkami, bierze mojego laptopa i kładzie go na stole naprzeciwko krzesła.

– Na ekranie zobaczysz obrazy kościanego cylindra, w wersji zwykłej i 3D. Zaciemniłam litery, które Keusséoglou zidentyfikował jako macedońskie, ale są niezrozumiałe. Oprócz tego pozostaje do rozszyfrowania cała masa dziwnych symboli. Teraz twoja kolej.

Rety, całość wygląda jak jakaś supernowa. Obracam obraz w każdym kierunku, by sprawdzić, czy symbole układają się w geometryczny wzór i dostrzec jakiś porządek w ogólnym chaosie, ale nic takiego nie rzuca mi się w oczy. Chociaż... wszystkie symbole zawierają ulubione przez Pitagorasa kąty proste. Po analizie naliczyłem w sumie 24 różne symbole, lecz wszystkie mają proste, geometryczne kształty. Wydzieliłem grupę 18 symboli składających się z linii tej samej długości. Ułożone są krawędź przy krawędzi, pod kątem prostym, parami, trójkami lub czwórkami, tak by utworzyć kwadrat. Połowa z tych 18 symboli ma kropkę w rogu, gdy składają się z dwóch linii, gdy z trzech – kropka jest na

linii środkowej, a gdy z czterech – to w środku kwadratu. Nagle wybucham śmiechem.

– Morpion!

Profesor spogląda na mnie zdezorientowany, więc od razu wyjaśniam.

– To mi przypomina taką grę z dzieciństwa.

Przy użyciu kilku poleceń głosowych oddzielam dziewięć figur z kropkami i układam je w taki sposób, by utworzyć planszę do gry w morpiona, składający się z dziewięciu kwadratów z kropkami w środku.

– Zwróć uwagę, że pozostałe dziewięć symboli jest symetrycznych – zauważa profesor. – Spójrz, pusta plansza do gry – dodaje, stukając w moją klawiaturę.

Łączę dwa symetryczne kształty i nagle czuję przebiegający po plecach dreszcz.

– Salonqa, z ilu liter składa się macedoński alfabet?

– W sumie 24, jest 18 spółgłosek i 6 samogłosek, tak samo jak w starożytnym greckim. Proszę – dodaje, stukając w klawiaturę, by wyświetlić alfabet na ekranie.

Tworzę schemat dopasowujący 18 kwadratów morpiona do 18 greckich spółgłosek, a następnie figury geometryczne z kościanego cylindra zastępuję spółgłoskami. Potem sprawdzam różne kombinacje trójkątów i rombów, które mają być samogłoskami.

Nagle schowana z tyłu Salonqa wydaje z siebie okrzyk zaskoczenia.

– Tutaj! Powiększ tę kombinację. Prześlę ją do pana Keusséoglou. Chyba rozpoznaję jedno słowo z metalowego cylindra...

Ἄλογο του Αλεξάνδρου, ανίκητος στην πλάτη σας θα είναι αθάνατο δύναμη αστέρι.

Profesor Keusséoglou od razu po otrzymaniu fragmentu przesyła jego tłumaczenie. Profesor Temudjin jest tak zdumiony, że udaje mu się jedynie wymamrotać:

– To niesamowite... Battushig, tajna wiadomość dotyczy postaci równie sławnej co dla nas Dżyngis-chan! Mowa jest o Aleksandrze Wielkim, jednym z największych zdobywców na świecie, i jego słynnym koniu Bucefale!

W tym momencie w rogu ekranu komputera wyświetla się powiadomienie o nowej wiadomości. Od razu ją otwieram i prawie spadam z krzesła, gdy widzę nadawcę. Napisał do mnie Kubilaj, były student naszego uniwersytetu, który obecnie pracuje w Hannibal Corp. Po moim wyjeździe na spotkanie z ojcem profesor Temudjin przekazał mu moją prośbę i adres e-mail. Przez wzgląd na swego dawnego profesora Kubilaj zgodził się wysłać mi zdjęcia przedmiotów znalezionych przy zamarzniętym ciele jeźdźca. Oprócz fragmentów ubrań i zbroi jest też metalowy trójkąt, na którym wygrawerowano jakieś symbole, kilka złotych monet i dwa zwoje.

Wiadomość od Kubilaja jest krótka. – Pierwszy dokument to przepustka wojskowa, a drugi to weksel. Oba pochodzą z 326 roku p.n.e. i podpisał je generał Ptolemeusz, naczelną wódz armii Aleksandra Wielkiego.

– Wydawało mi się, że Ptolemeusz był pierwszym przedstawicielem długiej dynastii egipskich faraonów? – pyta Salonę.

– Słusznie – odpowiada profesor Temudjin. – Pięć lat po śmierci Aleksandra ten generał został władcą Egiptu.

Gestem dłoni profesor Temudjin każe nam się przybliżyć i pokazuje na ekranie mapę podbojów Aleksandra Wielkiego po wyruszeniu z Macedonii w 334 r. p.n.e. Wskazuje miasto o nazwie Aleksandria Bukefała, leżące na obszarze dzisiejszego Pendżabu.

– Tutaj rozegrała się ostateczna bitwa, po której nastąpił odwrót wojsk w 326 roku p.n.e. Bucefał, ukochany koń Aleksandra, zniknął i Aleksander założył miasto, które nazwał jego imieniem.

Następnie profesor wskazuje na mapie góry Ałtaj i rysuje palcem trasę prowadzącą do Pendżabu.

– Jeździec prawdopodobnie pojechał tą trasą.

Wracam do mojego laptopa i czytam tłumaczenie wiadomości zakodowanej na kościanym cylindrze.

„Koń Aleksandra, niepokonanym będzie ten, kto jeździ na twym grzbiecie i nosi gwiazdę nieśmiertelnej potęgi”.

Znowu ta przeklęta gwiazda... Biorę zdjęcie metalowego trójkąta z ułamanym końcem, powielam je cztery razy, obracam pięć obrazów i układam je tak, by połączyć podstawy trójkątów. Uzyskany w ten sposób obraz potwierdza to, czego się spodziewałem: pięcioramienna gwiazda... Połamana gwiazda nieśmiertelnej potęgi, pieczęć wszechmocy. Po plecach przebiega mi dreszcz. Hannibal ma jedną część gwiazdy i...

Nagle obleciał mnie strach, prawdopodobnie irracjonalny, lecz niemożliwy do opanowania. W mojej głowie kotłują się rozmaite scenariusze prowadzące do jednej, przerażającej konkluzji:

Jeśli John Fitzgerald Hannibal, korzystając z możliwości swojej sieci wywiadowczej, zasobów finansowych i najnowocześniejszej technologii,

zgromadzi i poskłada wszystkie części połamanej pieczęci,

a potem znajdzie Bucefała...

Stanie się równie potężny i niezniszczalny co jeden z największych zdobywców i dyktatorów na świecie!

Muszę go powstrzymać! Tylko jak Salonę, profesor Temudjin i ja mamy pokrzyżować plany Hannibala, który dysponuje takim zapleczem?

Apeluję do was, członków internetowej Sieci, zarówno anonimowych, jak i znanych

specjalistów, przedstawicieli wszystkich narodowości, posiadających wiedzę ze wszystkich dziedzin i wszelkie możliwe wsparcie: mam nadzieję, że do nas dołączycie, abyśmy mogli wspólnymi siłami znaleźć fragmenty pieczęci wszechmocy, zanim zrobi to Hannibal. I powstrzymać go przed uzyskaniem tak niebezpiecznej władzy!

Jeśli podobała Ci się ta historia, poznaj Altair i odkryj inne legendarne konie na
www.howrse.pl